Nr. 47 (1195). Warszawa, 8 (21) Listopada 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za posrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Hasło federalizmu.

Stała się w Przedlitawii rzecz przewidywana od początku października r. b. Odbyty wówczas w Pradze czeskiej wiec radykalny potępił Młodoczechów jako wsteczników, zachowawców i niedołęgów w polityce narodowej, uchwalił ostrą dla nich naganę i wybrał mężów zaufania do opracowania energicznego programatu politycznego. Najgłośniej przemawiał i najgłębiej przemówił Klofacz, i on też, ze swego górującego nad innemi stanowiska zasad, porządkujących stosunki społeczne, podjął inicyatywę do uporządkowania stosunków narodowych. Inicyatywa zaczęła się od steroryzowania Młodoczechów i na steroryzowaniu skończyła. To co tlało w ich umysłach, rozdmuchane przez strach niepopularności, wybuchnęło płomieniem. Marzenie o królestwie czeskiem, o koronie św. Wacława, o Czechach dla Czechów, uśpione już w duszach, ocknęło się nanowo i przemówiło programatem, który nie jest już dziełem wyłącznem ani Klofacza, ani radykalnych lub niezadowolonych, lecz stanowi czyn zbiorowy wszystkich Czechów sejmowych.

Młodoczesi, mający wpośród siebie wielu radykalnych potrzebowali tylko tego pchnięcia, jakiem było potępienie październikowe, aby się długo nie namyślać. Podczas całej walki najpierw mniejszości, potem i większości sejmu węgierskiego, o wojsko, gorętsi z pomiędzy nich patrzyli na walczących z królem nie bez zazdrości, pragnącej pójść w ich ślady. Rzecz prosta, że, chcąc mieć wojsko, potrzeba sobie pierwej zdobyć samoistność, wyindywidualizować się z masy przedlitawskiej, a to osiągnąć można tylko w federalizmie. Dlatego oba prądy pobudzające, zewnętrzny od klofacistów, wewnętrzny od gorętszych patryotów młodoczeskich — zbiegły się we wspólnem ognisku idei federalistycznej. Słabe stronnictwo staro-czeskie, społecznie od niego silniejsze agrarne uległy szybko wpływowi stronnictwa najliczniejszego tak w sejmie praskim, jak w grupie czeskiej w Wiedniu. Nie potrzeba ich było długo namawiać i przekonywać: już na początku listopada wyszedł manifest, który ma prawo najzupełniej uchodzić za ogólno-czeski, narodowy, a ponieważ wyszedł ze środowiska polityki praktycznej, bieżącej, niewątpliwie stanie się dla niej w dalszym jej rozwoju zasadniczą podstawą, dla Austryi może — puszką Pandory.

W manifeście na pierwszem miejscu stoi federacyjne urządzenie państwa przedlitawskiego, liczące się z odrębnością historyczną a szanujące stanowisko prawno-polityczne pojedynczych krajów i narodowości. Obecny systemat rządów, polegający na niesprawiedliwym i niekonstytucyjnym oporze Niemców, kładących wszędzie swoje *veto* — pójdzie na cztery wiatry. W krajach korony św. Wacława językowi czeskiemu należy się doskonałe równouprawnienie z niemieckim; Morawy dostaną uniwersytet; szkoły na Śląsku będą w duchu narodowym przekształcone. Wszędzie mniejszości narodowe mają doznawać obrony; reforma wyborcza powinna zapewnić Czechom przyzwoite liczebności i sił ich godne stanowisko w ciałach obradujących i prawodawczych. Ziemie i kraje królestwa czeskiego uznane będą za niepodzielne i nietykalne. W pułkach czeskich zapanuje mowa czeska i panować będzie w stosunkach władz wojskowych z cywilnemi, komend pułkowych i sztabów wyższych z żołnierzami zapasowymi, w całem wreszcie sądownictwie wojskowem karnem. Tak więc przybywa do jednej już bolączki wojskowej druga. Słoweńcy dodali trzecią. Na pierwszem posiedzeniu Rady państwa d. 17 b. m. zażądali armii południowej, słoweńskiej. Z Galicyi, z Moraw, z Węgier, z zewsząd mają być Słoweńcy pościągani na południe do Słowenii.

Ruch Czechów jest bardzo poważny. Można pomijać, lekceważyć żądania wojskowe; zawsze przecież pozostanie tyle innych, że dla rządu, dla cesarza zadanie, obecnie występujące, będzie węzłem, który łatwiej rozciąć, niż rozwiązać. I dla samych Czechów nie będzie ono łatwem. Trzydzieści dwa lata temu, za Hohenwarta, zaprowadzić federalizm było o wiele łatwiej niż dzisiaj; wtedy nie było jeszcze stronnictwa pruskiego w Austryi, a panującą namiętność w Niemcach austryackich, liberalnych nie katolicko-zachowawczych, wytwarzał centralizm, odwiecznie habsburski, tylko na płonce instytucyj sejmowych i niby autonomicznych zaszczepiony. Dziś zmieniły się warunki i usposobienia na gorsze. Austryę, w szczególności Czechy, rozrywa silne stronnictwo pruskie, a namiętnością główną Niemców stał się pangermanizm, dążący w Czechach, jeżeli nie do zgnębienia Czechów, to do rozszarpania krainy czeskiej. Utrudnia to niezmiernie działanie i nie pozwala przewidywać rozwiązania bez gwałtu. Ale manifest sam przez się jest sztandarem dobrym i rozumnym i wszystko, co żyć chce, zebrać się pod nim powinno. Był czas, kiedy nie od Czechów, ale od Polaków w Galicyi i w Kole polskiem wyjść mogło pierwsze drgnienie federalistyczne — hasło, wezwanie i zachęta;

był czas, kiedy Czesi mogli pójść pod wpływ polski w sprawach ogólnych monarchii; były demonstracye w Krakowie, po których powinny były nastąpić w Austryi wspólne czesko-polskie czyny. Ale to wszystko zmiarniało, wszystko poszło na łup niedołęztwa, zasłaniającego się mądrością polityczną i dogmatem — zachowania Austryi przez przyglądanie się ciągłemu rozbijaniu jej budowy państwowej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

We Francyi od trzech blizko tygodni powaga Combesa mroczy się coraz bardziej. Radykaliści i socyaliści nie są z niego zadowoleni, a nepotyczne wynoszenie syna w górę, jako urzędnika, nie polepsza usposobienia. Niechęć, mimo zarządzenia śledztwa, okazana sprawie socyalistycznej po rozruchach z d. 29 z. m. na giełdzie pracy i na ulicach Paryża, łączy się z mętnem, a nie dość moralnie odważnem postępowaniem Combes'a w sprawie Chaumié'go, który, ograniczając słynne prawo Falloux, utrzymał jednak samą zasadę swobody nauczania, gdy większość republikanów, demokratów i radykalistów najszczerszych domaga się monopolu państwowego. Chaumié nie działa z własnego natchnienia: projekt ma za sobą świadomość i przyzwolenie Combes'a i całej rady ministrów, a pierwszy jego artykuł przeszedł już przez senat. Celem jest pozbawienie świeckiego również duchowieństwa wszelkiego nauczania szkolnego, świeckiego. Umiarkowani senatorowie-republikanie widzą tu nową walkę, podejmowaną przez Combes'a przeciwko Frères Chrétiens.

W nowym gabinecie włoskim już w sześć dni po przysiędze śmierć zrobiła wyłom: samobójczo zmarł minister skarbowości Rosano. „Roma" odkryła czyny tak haniące, że aż sam Giolitti od swego przyjaciela zażądał wyjaśnień. Musiało być to światło okropne, skoro ucieczkę przed nim jedyną dało samobójstwo. Cały gabinet nieosobliwy już teraz ma urok; radykalni i katolicy zgodnie żądali ustąpienia, król wszakże zaufania swego nie odjął nowym ministrom.

Wybory municypalne w Hiszpanii d. 8 b. m. wydały 2119 monarchistów i 364 republikanów. Na pomorzu śródziemnem były krwawe. Już przedtem w Bilbao z powodu zatargów z robotnikami popłynęła krew.

Mowa Balfoura d. 9 b. m. u lorda mayora Londynu dotknęła sprawy macedońskiej, japońsko-rosyjskiej, niebezpieczeństwa z upadku narodów wschodnich i potrzeby sądów rozjemczych między państwami. W pierwszej sprawie minister nazwał Rosyę i Austryę przedstawicielkami mocarstw z Traktatu Berlińskiego, a ich żądania odmierzonemi na skalę ustępstw minimalnych: niepodobna, aby na odmowie Turcyi skończyła się cała wyprawa dyplomatyczna. Co do Azyi, sprzymierzeńcy Anglii, Japończycy, okażą umiarkowanie i przezorność, ale przytem i stanowczość. Żadna z tych dwu spraw nie zagraża pokojowi. Niebezpiecznym — ale na dalszą metę — jest upadek narodów wschodnich; o ich dziedzictwa wywiązać się mogą walki: ale tutaj znowu kotwicę ocalenia daje duch sądów rozjemczych. Każdy dziś naród powinien być przekonanym, iż wciąganie narodów do walki jest występkiem. Spory należy oddawać przed sąd polubowny bez apelacyi, ilekroć swoboda myśli nie doprowadzi do celu — uniknięcia wojny. Przypomnieć należy, że świeży układ Anglii z Francyą podrzędne tylko wypadki oddaje duchowi miłości i zgody; pierwszorzędne po dawnemu rozwiązywane będą grozą i trwogą, niemiłosierdziem i krwią.

Rada państwa w Wiedniu zebrała się d. 17 b. m. Czesi odrazu ją zasypali wnioskami; poszły za ich przykładem i inne stronnictwa; wszystkich żądań prawodawczych i budżetowych naliczono odrazu 124. Koerber zaklinał, wykładał konieczność zgody, wystawiał niebezpieczeństwo położenia; mówił niby po obywatelsku, ale nawet rzetelne obywatelstwo nie wywołałoby już dziś wrażenia. Prezes ministrów bronił ustępstw dla wojska węgierskiego jako nieszkodliwych dla wolności, a układu ekonomicznego z Węgrami, jako niezbędnego dla Przedlitawii. Trudno przypuścić obrady spokojne. Na Węgrach Tisza usiłował przeprowadzić kontyngens, aby uwolnić zatrzymanych: bez skutku. Jeszcze się trzyma — już dwa tygodnie—to wszystko.

D. 17 b. m. królestwo włoscy przejechali przez Cherbourg do Anglii. Król grecki Jerzy bawił w Wiedniu. P. Gołuchowski przekonywał go o niezawodności ostatecznej środków, których przeciwko Turcyi używa.

W Bułgaryi zanosi się na wojnę domową. Z większością Stambułowców w Izbie wracają i czasy Stambułowa, oczywiście, na mniejszą skalę.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

„Prowincya" się nudzi. — Męczennicy nudy prowincyonalnej. — Czy możemy się nad nimi litować? — Co jest do zrobienia na prowincyi? — Zbiorowa praca. — Szkolnictwo. — Zakończenie.

Kiedy wasz sługa pokorny po przeczytaniu szeregu pism prowincyonalnych ostatniej doby starał się odtworzyć sobie w duszy ogólny obraz życia po za Warszawą, zawsze przed oczami miał jednakie widmo. Widmo to było ubrane w suknie przeciętnego inteligenta z Raciąża czy Olkusza, czy zresztą Sosnowca lub Siedlec, stawało ono w postaci, wyrażającej apatyę, przeciągało się leniwie i, otwierając szeroko usta strasznem ziewnięciem, wywoływało nastrój bajecznie nudnej nudy. I zdawało mi się, że dziś, gdy tak drobniutko mży deszczyk jesienny, a niebo ołowiane tak beznadziejnie przygniata nieszczęsnego syna ziemi, że dziś właśnie kraj cały od Drwęcy do Bugu i od czarno-żółtej Pszemszy do bystrej Szeszupy, ziewa, ziewa i ziewa.

Bo oto posłuchajcie choćby dramatu życiowego młodego rejenta w małem miasteczku.

Nieszczęśliwy ów przestał... grać w winta i z gorzką ironią czeka chwili kiedy po zerwaniu z ośrodkiem oświaty i kultury, upodobni się do innych, mieszkających w tem miasteczku i z uśmiechem pobłażliwości będzie o sobie mówił: „o, i ja kiedyś byłem Farysem!"

2)

Wacław Sieroszewski.

Kawałek Japonii

(Wyjątek z dziennika).

20 września 1903 r.

Szaro-zielony brzask przedarł się przez spuszczone story wagonu i obudził mię. Był szary od dżdżu, zielony od niesłychanie bujnej roślinności, pokrywającej przebiegane przez nas okolice. Już co prawda, to prawda, że roślinom chyba najlepiej w Japonii: mają słońca i wilgoci podostatkiem. Stąd pewnie płynie wielka sława tutejszych ogrodników, którzy przesadzają drzewa i duże i małe bez żadnej ceremonii, kaleczą je, gną, wykręcają... Ale w tem cudownem powietrzu można z drzewami robić, co się chce, a one nie umrą. Tu pozostały gatunki, które już dawno wymarły lub scherlały na całym świecie. Patrząc na potworne drzewa kamforowe, na olbrzymie, jak skały, pnie widłaków, przedstawiamy sobie dopiero, czem były lasy przedpotopowe, że łatwo w nich było błądzić mamutom, bo wyglądały jak myszy.

Północną część Niponu, słynną ze stad koni i bydła, których dostarcza dla całej nieledwie Japonii, przebyliśmy w nocy. Są tam obszary wywłaszczone przez rząd na pastwiska dla stadnin rządowych, koło Sambongi, Koma, Szimboda. Przelecieliśwy moc długich i krótkich tunelów i jeden niezwykle wielki koło „Iczi no-hi," z którego wylotu otwiera się śliczny widok na górę „Szju-no-matsu-jama," unieśmiertelnioną w zwrotce japońskiego poety:

Kto ślubując kochać wiecznie	Czigiriki na
Obiecuje kochać,	Katami ni sode wo
Póki grzywy morskiej fali	Szibori tsutsu
Nie przepłyną Szju-no-matsu,	Szju-no-matsu jama
Ten ślubuje kochać wiecznie...	Nami, konasai to wa...

Znałem tę drogę, gdyż jadąc do Hokkaido, przebywałem ją we dnie. Chętniebym jednak obejrzał po raz wtóry. Pamiętam, że uderzyła mię naówczas wielka ilość drewnianych dachów na polach i szop, zbudowanych dla ochrony linii kolejowej od śnieżnych zawałów. Pociąg leciał szybko, mijając pomniejsze stacye. Gdym siadł do śniadania, konduktor wywołał „Sendaj," wielkie miasto, leżące na pół drogi do Tokio, stolicę prowincyi Rikuzen, niegdyś siedlisko najpotężniejszych na północy Daimosów, Dajt Mutsu-no-Kami. Sendajczycy słyną z wierności, są uważani za dobrych urzędników i żołnierzy. W Sendaj jest dużo chrześcian, przeważnie prawosławnych.

Gdy pociąg ruszył dalej, z żalem patrzałem na piękne, ciekawe miasto, w którego okolicach znajduje się słynna świątynia „Żywego Lisa," pragnąłem i postanowiłem ją zwiedzić, ale nie mogłem tego zrobić teraz wskutek „zmienionych okoliczności."

Pola ryżowe bez końca — bure od dojrzewających kłosów, żółte już, dojrzałe i jeszcze zupełnie zielone. Każde oramione ciemnym szlakiem bobu, albo innej rośliny ogrodowej. Niektóre gęste, aż się pokładły od ulew i ciężkiego ziarna. Mówią, że ten rok dla ryżu urodzajny. Na rzadszych niwach, z pod lasu zbóż przebłyskują ukryte wody. Czasami zamiast bobu opasują pola szeregi wysokich, trzcinowatych „kibi," rodzaju prosa — czarnego ryżu, jak mi go nazwał Japończyk. Dużo też pól porasta kukurydzą, i coraz częściej przesuwają się przed lecącym pociągiem plantacye młodej jedwabnicy.

Wjeżdżamy w okrąg Fukiszima, ognisko jedwabnictwa. A ot, i samo miasto Fukiszima ze starym zamkiem rodziny Itakura i wulkanem Azuma-jama w oddali. Wulkan wybuchał niedawno, w 1893 r., zabił i pokaleczył około 80 górników, pracujących w kopalniach siarki, przysypał też, popiołem na 5 stóp wysokości okolicę na odległość półtory mili. Daimosi, dawniej bardzo wybuchowi, stali się o wiele mniej groźni. Mieszkają przeważnie wszyscy w Tokio, gdzie odcinają spokojnie kupony od obligacyj, otrzymanych za swe przywileje. Siedliska ich dymią się obecnie nie od ogni obozowych, lecz od kominów fabrycznych, których liczba szybko wzrasta i bardzo szpeci piękne krajobrazy Japonii.

Fukiszima należy do takich zadymionych miast, których już od samego Tokio

Pan rejent jednak jest młody, krew gra, młodość woła „excelsior“! Duch buntu wzdyma pierś jego, harpie siadają na głowie i szponami mózg rwą... I oto, pan rejent filozofuje w czarny, jesienny wieczór: Jakaż przyszłość mnie czeka? Będę takim, jak inni? Będę powtarzał znane anegdotki, oklepane dowcipy i rozmyślał wiecznie nad kombinacyami wintowemi? Będę miasteczkowym „prykiem“ z przedpotopowym aparatem pojęć i poglądów? Nie, stokroć nie! Ja czuję brak życia czynnego, wrażeń, brak ludzi żywych! Co tu będę robił w te długie wieczory jesienne i zimowe, co ja będę robił sam w tem miasteczku? — odpowiedz redaktorze!.. — jęczy pan rejent na łonie *Ech płockich i łomżyńskich*, a deszcz pluszcze i pluszcze, wicher gwiżdże i wyje w kominie. Co, nie straszny dramat?

Więc też na pomoc nieszczęsnemu rejentowi przybieżeli życzliwi: Panie rejencie, kochany, poświęć się pan jakiejś gałęzi wiedzy oderwanej, o ile nie możesz podnieść otoczenia do swego poziomu — radzi redakcya. Weź się nareszcie do pracy ręcznej, przecież się to i mądrzejszym od ciebie przytrafiało; Kościuszko ongi skracał sobie długie godziny tokarstwem, Niemcewicz był niezłym introligatorem, przecież białogłowy zawsze nudy robótką zabijają — prawi „Zrzeda.“ Ktoś tam znowu radzi sadzić drzewka, jednem słowem pan rejent bynajmniej nie mógł się uskarżać na brak życzliwości; znalazły się i słowa prawdy: że cała ta nuda to blaga, że gdyby ludzie inteligentni, osiadający co roku na prowincyi dla chleba, byli ludźmi serca, idei i czynu, przestalibyśmy narzekać na nudy, rdzewienie, wegetacyę i brak wyższych pobudek. Prowincya nie jest miejscem zesłania, lecz żyznym odłogiem, mocno zaniedbanym. Szczera praca dla niej zawsze wyda plon stokrotny. A przy pracy człowiek nie rdzewieje, lecz doskonali się, jak oświadczył p. Profan w tychże *Echach*.

Dziwnym zbiegiem okoliczności taka sama historya powtórzyła się w Zagłębiu Dąbrowskiem. P. Klubowiec z nadejściem jesieni wpadł w melancholię i krzykiem rozpaczy rozdarł szpalty *Kuryera Sosnowieckiego*. Ten znowu pan miał dziwnego „pecha,“ w żaden sposób nie mogąc poradzić sobie z zabawą w klubie miejscowym, a przytem nudziło mu się bez płci pięknej. Dalej więc, rozpoczął on ankietę na temat: czy klub odpowiada swemu celowi, czy wogóle życie towarzyskie jest możliwe, a przedewszystkiem, jak zabić te szalone nudy, które gnębią człowieka po zakończeniu pracy dziennej. Znowu posypały się głosy, z których dowiedzieliśmy się, o dziwo! — że w Zagłębiu, miejscowości, gdzie inteligencyę stanowią ludzie wykształceni i z samego charakteru zawodu rzutcy i postępowi, panują stosunki niewiele różniące się od słynnych zatargów sąsiedzkich, po przeróżnych Iksinowcach i Obrzydłówkach, że stały, według zapewnień — dobry teatr świeci pustkami, że stowarzyszenia upadają wskutek braku energii i apatyi ogólnej członków, jednem słowem, że nuda wynika wprost z lenistwa i ospalstwa tamtejszej inteligencyi.

Ktoś obcy, po przeczytaniu tych polemik, jakie przez czas pewien zajmowały szpalty dwóch pism powyższych i widząc cały szereg notatek tego rodzaju, wśród korespondencyj z prowincyi absolutnie we wszystkich organach prasy prowincyonalnej, gotów byłby pomyśleć, że rzeczywiście jesteśmy krajem, który osiągnął najwyższy stopień kultury, że ludzie nic już rzeczywiście nie mają do zrobienia i gwałtownie szukają nowej pracy, gdzieby mogli zużytkować swoją energię i siły niepożyte.

Zdziwiłby się też niemało, gdyby przerzucając jakie bądź nasze pismo, znalazł cały legion wzmianek wprost przeciwnie o naszej kulturze świadczących. W tym samym Sosnowcu matka, chcąc pozbyć się zawadzającego jej dziecka, wiesza je na drzewie; gdzieindziej znowu żywcem wrzuca do dołu ustępowego; dla podniecenia koni, wyciągających wóz z błota, przywiązują im do ogonów pęki słomy, którą zapalają. Wszyscy na gwałt krzyczą o nożownictwie, szerzącem się w okropny sposób, jednem słowem, wszędzie ciemnota, brak kultury zupełny, masy giną w odmęcie nędzy, a inteligencya... się nudzi.

Tak, nudzi się ona, bo brak jej tego poczucia solidarności z ogółem, bo pomimo frazesów demokratycznych, zbyt ciągle jeszcze pełni jesteśmy rozmaitego rodzaju uprzedzeń arystokratycznych, bo inteligencya a masy — to dwa odrębne i obce sobie w zupełności światy. Nudzącym się panom rejentom i klubowiczom można powiedzieć, że na całe Królestwo, na jego dziesięciomilionową przeszło ludność, ochronek wiejskich i miejskich posiadamy aż 86, z czego 58 przypada na miasta, a 28 na wsi. Obraz ten jeszcze będzie ciemniejszy, gdy powiemy, że z tej liczby 62 ochrony znajdujemy w dwóch guberniach, Warszawskiej i Piotrkowskiej, a 24 pozostałe rozsiane w reszcie kraju. I dalej jeszcze, ciekawym jest szczegół, że ten brak ochron, to wynik li tylko lenistwa i apatyi sfer inteligentnych, gdyż od roku zeszłego przepisy, normujące ich zakładanie, znacznie upraszczają wszelkie formalności i że w wielu miejscach znajdują się fundusze, aż nadto dostateczne dla założenia całego szeregu ochron. Toć, jak wykazał dr. Starkiewicz niedawno w swoim odczycie w sekcyi ludowej Tow. hygienicznego, gub. Lubelska posiada przeszło 100,000 rb. funduszów publicznych. Czyż inteligencya tamtejsza nie może zdobyć się na energiczniejszą akcyę dla ich otrzymania i odpowiedniego zużytkowania?

Tow. hygieniczne ma możność nadzwyczaj szerokiej działalności na prowincyi, a cy dużo liczy ono sekcyj prowincyonalnych? Ułatwionem zostało wygłaszanie odczytów na prowincyi — czy kto z tego korzysta? Nie i nie. Gdzie tylko sięgniemy okiem, tam całe mnóstwo potrzeb społecznych leży odłogiem; masy nie mogą im podołać, gdyż nie są do tego przygotowane, a inteligencya się nudzi.

Dlatego też obowiązkiem wszystkich ludzi energiczniejszych i powinnością organów prasy prowincyonalnej jest piętnowanie tej bezmyślnej i gnuśnej apatyi, t. zw. inteligencyi prowincyonalnej. Garść ludzi, utrzymywana i wykształcona na koszt mas szerokich, powinna dla tegoż społeczeństwa pracować a nie, zadowoliwszy się rolą czynnych „zjadaczy chleba,“ używać spokoju i w długie, jesienne wieczory wymyślać na nudy. Pomimo całego tragizmu, jaki ma w sobie to powolne zatapianie się młodego, pełnego sił żywotnych ducha w bezdennej, błotnej topieli filisterstwa i bez-

---

ciągnie się cały szereg. Fabryki, są to przeważnie przędzalnie jedwabiu. Z pomiędzy nich miasteczko Akabane wydało mi się najbardziej fabrycznem.

Pociąg biegł, zatrzymując się tylko na znaczniejszych stacyach. Robiło się ciepło, parno... Czuć było, że biegniemy szybko na południe. Znać to było i po roślinności coraz rozmaitszej i rozkoszniejszej. Wśród jasnych pól ryżowych, koło białych i szarych domków kupiły się całe kępy drzew owocowych, gruszek, jabłek, słodkich kasztanów, orzechów, granatów, fikusów oraz tuj ciemnych, wspaniałych widlaków, cisów i cyprysów japońskich. Wszędzie piął się bluszcz, a na skałach rosły ogromne, ażurowe paprocie. Wkrótce okolice przeistoczyły się w jeden śliczny, dobrze uprawny ogród, gdzie mieszały się z sobą winnice i plantacye brzoskwini oraz moreli, rozpiętych szeroko na altanowatych rusztowaniach. Do kwater jakichś nieznanych mi, łopianowatych roślin jadalnych wcisnęły się działki równie szerokolistnych, wybujałych lotosów, dla kwiatów hodowanych na sprzedaż. Widziałem również dużo kawonów, melonów i wreszcie masę rzodkwi i olbrzymiej cebuli (pysznej). Koło domów, z za ogrodzeń strzelały wysoko w górę ogromne, jasno-zielone, podłużne liście bananów i ciemne, wielopalczaste wachlarze palm, coraz częściej wysuwających się z kup wzorzysto przetykanej gęstwiny ogrodów. Gdzie zaś czernił się gaj starych, krzywych sosen, tam na pewno stał rząd „torż,“ a w głębi ślicznie rzeźbiona, z dachem wygiętym, jak damski kapelusik, buddyjska lub szintoiska świątynia. Często również widziałem wśród pól małe, dobrze mi znane kapliczki „Lisa,“ opiekuna pól ryżowych i władcy obłąkanych. Gdym się bliżej przyjrzał życiu wieśniaków japońskich, zrozumiałem, dlaczego go tak czczą i tak się lękają...

Ten lud nerwowy i histeryczny łatwo podpada obłędowi, ryż zaś jest dlań wszystkiem i sprawiedliwie zwą się sami Japończycy „ludem z granic dojrzewania ryżu.“ Stąd to tak gwałtownie pchają się do Korei i na Filipiny, choć mają mało jeszcze zaludnione, śliczne Hokkaido z klimatem Europy środkowej. Lecz łatwiej nawet wyemigrować, niż zmienić sposoby gospodarowania: do tego potrzebne nietylko pieniądze, ale i wiedza, która nawet wyłożona w szkole, nie może zastąpić zaczerpniętej w dzieciństwie przez pracę na roli, razem z rodzicami.

Tu nic nie pomogą żadne rozumowania: wieśniak japoński pragnie i umie uprawiać jedynie ryż, a pszenicę, jęczmień i żyto ledwie poznawać zaczyna. Obszar pól ryżowych nie może być już zwiększony we właściwej Japonii, kultura jego posunięta została do ostatnich granic... Pola ryżowe w Hokkaido z wielkim mozołem i stratą czasu trzeba zdobywać z pod osuszonych moczarów... Tymczasem ludność wzrasta, a choć Japończyk bardzo niechętnie porzuca na zawsze ojczyznę, lecz musi, bo mu tu za ciasno. Rzecz więc zrozumiała, że pcha się do sąsiedniej Korei, zbliżonej klimatem i posiadającej wyborne, niewyzyskane jeszcze pola ryżowe... Oto źródło kwestyi koreańskiej, z powodu której ważą się teraz losy wielu ludzi żywych a na śmierć skazanych...

Ta kwestya ma jeszcze inną stronę.

— „Ktokolwiek weźmie Koreę, chwyci nas za gardło! — mówią zupełnie słusznie Japończycy. — Żaden nasz okręt nie będzie mógł przemknąć się obok półwyspu bez pozwolenia jego władców, a przecież... my tyleż prawie mieszkamy na morzu, co i na lądzie!“

To prawda. Dość przepłynąć kilka razy o wschodzie słońca wzdłuż brzegów Japonii, dość widzieć tę armię białych żaglowców, ten wieniec setek tysięcy statków, łodzi, łódeczek, odbijających codzień od wysp archipelagu, aby zrozumieć, że są oni istotnie ludem ziemno-wodnym i swoboda żeglowania jest dla nich warunkiem życia lub śmierci... Ryba, ryż i handel morski — są to trzy najważniejsze ostoje ekonomiczne tego ludu...

21 września. Tokio.

Miasto ogromne, z ulicami tak szerokiemi, jak gdyby chodzić po nich mieli nie mali Japończycy, lecz potomkowie cyklopów i oceanid... Kanały pełne cuchnącej wody morskiej, na nich rój łodzi, wielkich statków i parowców. Nie będę opisywał Tokio... Ciągły deszcz. Brzydko. Wrócę tu jeszcze 3 października, na święto Chryzantem i opowiem, co wtedy zobaczę...

myślnej wegetacyi zadowolonego z siebie karmnika, podobne kwilenia różnych rejentów ex-wintowiczów i klubowców, ludzi, bądź co bądź jeszcze śmielszej natury wśród całego tego bagna t. zw. inteligencyi prowincyonalnej, mimowolny wstręt budzą. Ludzie czynu i chęci znajdą pracy aż nadto; przykładem — nieraz przez nas wspominany Tuszyn, Towarzystwo hygieniczne kaliskie, kursy wieczorne dla robotników w Dąbrowie i cały szereg innych, podobnych instytucyj, a na nudy ci mogą narzekać, o których z góry da się powiedzieć, że po kilku rzutach i skokach rozpaczy znajdą ukojenie w wincie i plotkarstwie.

Na dobro pewnego ożywienia ruchu zbiorowego na prowincyi musimy przytoczyć fakty żywej i śmiałej inicyatywy w celu założenia prywatnej szkoły średniej. Jak podaje *Gazeta Radomska*, p. K. Borski, obywatel w Iłżeckiem, uznając fakt przepełnienia gimnazyum i szkoły handlowej w Radomiu, zapoczątkował narady w kwestyi założenia gimnazyum prywatnego, utrzymywanego zbiorowo przez obywateli miejscowych. Również zaznaczyć należy energiczną, podobną akcyę, rozpoczętą przez obywateli Mławy i jej okolic dla założenia w tem mieście średniej szkoły realnej. Każdy taki objaw działalności zbiorowej notujemy chętnie i z radością, dlatego też z prawdziwą przyjemnością powtarzamy za *Tygodniem* wieść o powstaniu nowych spółek pod Tuszynem z inicyatywy trzech włościan, oraz we wsi Wielgolasie pod Mińskiem warszawskim, gdzie do spółki przystąpiło na razie dwunastu gospodarzy ze wsi Wielgolasu i Chyżyny. Zarazem bardzo ciekawym jest fakt, również przez *Tydzień* podany, o uchwale i energicznem przeprowadzeniu zniesienia szachownicy we wsi Krzepczowie w Piotrkowskiem. Włościanie sami, bez niczyjej namowy, powzięli uchwałę, sprowadzili z Piotrkowa geometrę i bez długich sporów całą sprawę załatwili. Wogóle, lud tamtejszy ma się odznaczać oświatą i pewną samodzielnością w postępowaniu. Niema wsi — powiada korespondent cytowanego pisma—gdzieby nie prenumerowano *Gazety świątecznej* lub *Zorzy*. Gazety chętnie czytają, a rady ich i wskazówki w praktyce stosują. Niestety jednak podobne oazy są dziś jeszcze rzadkie i choć liczba ich wzrasta bezustanku, niemniej jednak długo musimy czekać, aż staniemy się społeczeństwem szczerze zdemokratyzowanem i noważytnem w pojęciach, uczuciach i postępowaniu.

Na przeszkodzie temu stoi między innemi i opóźniający podniesienie się mas, niestety, brak zupełny dostatecznego szkolnictwa niższego Pan W. L. w *Słowie* niedawno dał obraz rozpaczliwego stanu tego szkolnictwa. Dość powiedzieć, że wszystkie miasta w Królestwie, po za Warszawą, na cele oświaty początkowej wydają 128,309 rb., co wobec 1,417,689 mieszkańców stanowi 9 kop. na głowę, tj. blizko pięć razy mniej, niż miasta Cesarstwa, łącznie z miastami Syberyi i Azyi środkowej. Warszawa na cele oświaty płaci 24 kop. na głowę, wobec 78 — w Petersburgu i 74 w Moskwie. Na wsi oczywiście sprawa szkolna nie lepiej stoi, a olbrzymia (według Blocha 80%) ilość analfabetów wśród rekrutów z Królestwa zdaje się być dostatecznym tego dowodem.

Dziwnem też wydaje mi się wobec tego wszystkiego to znudzenie naszej inteligencyi prowincyonalnej, ludzi siedzących, bądź co bądź, w ośrodkach mniej lub więcej rozległych okolic, o życiu tętniącem silnie, o nowych zjawiskach, a nadewszystko okolic, gdzie wiele, bardzo wiele jest potrzeb niezałatwionych a wprost wołających o pomoc. Dziwnem i bolesnem zarazem, bo świadczy niezbicie, żeśmy sobie obcy, że ludzie, przyjeżdżający z ognisk naszego życia umysłowego, naszej kultury i naszego serca kraju, ludzie często pełni życia, ideałów i wiedzy, po bardzo krótkim pobycie zniechęcają się, i to zniechęcają, nie próbując, czy też nie umiejąc wnieść w życie miejscowe świeżego ducha i nowej wiary.

Smutno!..

J. Dąbrowski.

Z nad Warty i Odry.

Zjazd delegatów. — Kandydatury. — Kandydatura p. Dziembowskiego. — Upadek kandydatury p. Morawskiego. — Matactwa *Katolika*. — Walka z centrum. — Akademia w Poznaniu.

Po burzliwych zajściach na zebraniach przedwyborczych, gdzie konserwatyści za pomocą najrozmaitszych sztuczek i wybiegów usiłowali podkopać kandydatury opozycyjne, nastąpiła chwilowa cisza. Walne zebrania powiatowe uchwaliły kandydatury w myśl żądań t. zw. „ludowców,“ to też organy konserwatystów z kwaśnemi minami oczekiwały walnego zebrania delegatów na Wielkie Księstwo Poznańskie. Miało ono ostatecznie zatwierdzić kandydatury sejmowe.

Stawiło się 38 delegatów. Po dopełnieniu formalności wstępnych przystąpiono do mianowania kandydatów. Zanim jednak rozpoczęto głosowanie, odczytano list p. Dziembowskiego. Ten ostatni nie miał żadnej nadziei uzyskania kandydatury w którymś z pewnych okręgów, gdyż należy do osobistości, najbardziej skompromitowanych polityką służalczą. To też uznał za stosowne udać obrażonego i zrzec się mandatu, którego mu nikt nie proponował, motywując swe wystąpienie tem, że nie może dzielić odpowiedzialności za postępowanie posłów, domagających się ostrego tonu... „W obecnych warunkach przyjąć mandatu nie mogę. Nie chcę bynajmniej krytykować postawionych kandydatur poselskich, przeciwnie wyrażam życzenie, aby nowe Koło, z nowym programem i nową taktyką wywalczyło uznanie naszych praw i zdobyło szacunek dla wiedzy, pracy i kultury narodu naszego.“ List ten, nie pozbawiony akcentów złośliwości, wrażenia nie wywarł, bo jak się pokazało później, był najzwyklejszym fortelem.

Rozpoczęło się balotowanie. Na pierwszy ogień poszedł okrąg średzko-śremsko-wrzesiński, gdzie wbrew wszelkim usiłowaniom konserwatystów utrzymał się obok ks. Stychla i dr. Szumana, p. Józef Głęboczeniu, uważającemu, jak wogóle Japończycy, wszystkich Słowian za Rosyan...

. . . .

Na kilka dni przedtem, dnia 17 września, odbyło się w Sendaj, w teatrze Sendaj-za, narodowe zgromadzenie. Przybyły na nie deputacye prowincyj północno-wschodnich (Mijagi, Fukiszeina, Jamagata, Akita, Ywada, Aomori), należących do stowarzyszenia „Tajro-Dosikaj.“ To stowarzyszenie powstało niedawno w Tokio: składają je głównie stronnicy partyi politycznej „Sinpo-to“; przewodniczy im p. Okuma oraz inni stronnicy księcia Konoj. Jest ono gałęzią stowarzyszenia „Domej-kaj“ i ma na celu utrzymanie niezawisłości Korei, nietykalności Chin i wzmocnienie samoistnego bytu cesarstwa Japońskiego.

Na zebraniu tem było obecnych ogółem przeszło 3,000 osób; wygłoszono cały szereg mów o charakterze bardzo wojowniczym. Nadeszła też depesza od księcia Konoj:

„Wyrażam uznanie Sendajskiemu zebraniu za energię, z jaką wypowiedziało usilne żądanie ludu i pewien jestem, że będzie to miało wielki wpływ w kwestyi Wschodniej.“

Członkowie partyi „Sej-ju-kwaj“ markiza Ito nie uczestniczyli w zebraniu.

Podobne zebranie tylko o wiele liczniejsze ma odbyć się w Tokio 6 października w dzień naznaczony przez Rosyę dla wycofania wojsk z Mandżuryi, w terminie powszechnie tu przypuszczalnego wypowiedzenia wojny. (C. d. n.).

22 września. W drodze z Tokio do Nagaski.

Tym razem pojechałem drugą klasą. Wolę jeździć drugą klasą: tu więcej życia i... Wschodu. Jeździłem już trzecią, ale tam już tego... Wschodu zadużo, w dodatku często się trafiają pijani, europejscy majtkowie. Stąd zwady, w których i spokojny podróżny może coś oberwać. Przyznać muszę, że nieszczególnych, europejskich przedstawicieli poznaje szeroki ogół Wschodu.

W wagonie było pełniutko. Miejsce dostałem złe i noc spędziłem niewygodnie, pół drzemiąc, przytulony w kącie. Japończycy jednak spali wybornie. Przyzwyczajeni do ciasnoty swych małych domków, do ciągłego podwijania pod siebie nóg, gdyż krzeseł nie mają i siedzą na ziemi, na matach, umieją jakoś skręcać się w kłębek i zajmować niezwykle mało przestrzeni. Naprzeciwko siedziała Japonka z dzieckiem i sługą. One nóg prawie nie spuszczały z siedzenia, załatwiając wszystko na wąziutkiej, kolejowej ławce: jadły, piły, spały, przebierały się. Malec biegał od matki do niańki i, choć miał już lat ze cztery, widziałem, jak ssał pierś matczyną, kąsał ją i całował ze śmiechem, wywołując wyraz błogości na twarzy Japonki. Wcale nie krępowała się obecnością mężczyzn, choć była dość młoda i ładna; sądząc z ubioru i obejścia, należała do klasy zamożnej i musiała być „postępowa,“ gdyż nie miała uczernionych zębów. Jedynie od mojej strony naciągała cokolwiek „kirimon“ na obnażone ciało. Malec też, spotkawszy się wzrokiem ze mną, marszczył brwi i śmiać się przestawał. W jego dziecięcem spojrzeniu czytałem ten sam wyraz oburzenia i niepokoju, jaki nieraz zauważyłem w głuchych kątach Japonii u dorosłych i który znaczył mniej więcej:

— Co to jest? Ten barbarzyńca śmie wędrować po naszej świętej ziemi japońskiej i uchodzi mu to cało? Koniec świata!

Należy pamiętać, że *cała* Japonia otwarta została dla cudzoziemców zaledwie kilka lat temu, a przez wieki nie wpuszczała ich w swe granice pod grozą śmierci. Wtenczas każdemu wolno było bezkarnie zabić białego. Strach przed nimi i nienawiść ku nim, wpajana przez księgi i kapłanów, wżarła się tak głęboko w duszę Japończyka, że nawet stłumiona przez wykształcenie i pobyt w Europie, śpi na dnie serca w postaci głębokiej nieufności i łatwo przechodzi w odrazę. Niech ukształceni Japończycy nie przeczą temu, bo tak jest; niech będą choć raz szczerzy, tembardziej, że myślę o tem bez gniewu, lecz z ubolewaniem, gdyż to jest wielka przeszkoda w zbrataniu się ludów.

Ale w drobiazgach Japończycy są z Europejczykami bardzo „grzeczni,“ więcej nawet, niż między sobą. I tym razem w wagonie znalazł się jakiś młody Japończyk, doskonale mówiący po angielsku, który wziął mię pod swoją opiekę. Był to inżynier; skończył uniwersytet w Ameryce i mówił, że tu w Japonii jego interesem jest węgiel. On słyszał o Polakach i zauważyłem, że tłumaczył moje pochodzenie oto-

cki, o którego kandydaturę stoczono tyle walk na zebraniach powiatowych. Kandydatura p. Głębockiego została jednak zatwierdzoną, jakkolwiek otrzymał on aż 14 gałek czarnych na 38 głosujących, kiedy dwaj inni kandydaci na ten okrąg (wybierający 3 posłów) — dr. Szuman i ks. Stychel otrzymali tylko dwie, względnie 5 gałek czarnych.

Już przy następnym okręgu (kościańsko-smigielsko-nowotomyskim), który wybiera 2 posłów, przyszło do zaciętej sprzeczki pomiędzy konserwatywną większością delegatów i mniejszością. Wśród powszechnej ciszy jeden z delegatów zaproponował na kandydatów dr. Skarżyńskiego i dr. Felicyana Niegolewskiego, opuszczając postawionego w trzech powiatach przez walne zebranie p. Franciszka Morawskiego, nader gorliwie popieranego przez opozycyonistów. To opuszczenie jawnie tendencyjne i niesłuszne z formalnego stanowiska, wywołało sensacyę. Delegat poznański, p. Rzepecki wniósł, ażeby odczytano protokuły walnych zebrań powiatowych. Kiedy uczyniono zadość temu żądaniu, pokazało się, że trzy powiaty wyraźnie życzyły sobie kandydatury p. Morawskiego. Wobec tego p. Rzepecki zażądał stanowczo, aby delegaci tego okręgu zastosowali się do regulaminu, który wymaga, aby walnemu zebraniu delegatów przedstawiono kandydatów, trzymając się ściśle porządku, w jakim kandydatury zostały postawione przez powiaty. Wywiązała się bardzo burzliwa dyskusya. Chcąc ratować sytuacyę, przewodniczący zaproponował głosowanie nad pierwszym kandydatem i kandydatura dr. Skarżyńskiego przeszła 27 głosami przeciwko 11. Po tej przerwie znowu wszczęła się dyskusya nad kandydaturą p. Morawskiego. Napróżno opozycyoniści przypominali i odczytywali różne paragrafy regulaminu, przewodniczący nie chciał ustąpić. Większość delegatów twierdziła, że głosować nad kandydaturą p. Morawskiego można dopiero wówczas, jeśli upadnie kandydatura dr. Niegolewskiego. Nastąpiło głosowanie, i dr. Niegolewski otrzymał 25 czarnych gałek na 13 białych. Zwolennicy dr. Niegolewskiego, wiedząc, że jego kandydatura przejdzie napewno w okręgu odolanowsko - ostrowsko - ostrzeszowsko-kępińskim, głosowali przeciwko niemu, byle utorować drogę kandydaturze p. Morawskiego. Ten ostatni otrzymał równą liczbą białych i czarnych gałek. Według regulaminu w takich wypadkach rozstrzyga losem przewodniczący. Ten jednak wyjął gałkę czarną — i kandydatura p. Morawskiego przepadła ostatecznie. Dzięki przypadkowi opozycyoniści ponieśli w tym okręgu porażkę. Większość delegatów, korzystając z tego, że w okręgu kościańskim brakowało drugiego kandydata, postawili kandydaturę reakcyonisty, ks. Jażdzewskiego. Jednakże delegat pleszewski protestował przeciwko temu, ponieważ ks. Jażdżewski miał być postawiony w jego okręgu. Wobec tego większość delegatów zaproponowała przegłosować tymczasem kandydatury okręgu pleszewsko-jarocińsko - krotoszyńsko - koźmińskiego, „aby delegatom z Kościańskiego dać czas do namysłu,“ a właściwie, aby urządzić opozycyonistom niespodziankę dość nieprzyjemną.

Niespodzianka polegała na tem, że kiedy uchwalono kandydatury ks. Jażdżewskiego i dr. Chłapowskiego na okrąg pleszewski, ku powszechnemu zdumieniu na scenę powrócił p. Dziembowski, który już się był ostentacyjnie zrzekł wszelkich pretensyj do mandatu. P. Dziembowski najspokojniej w świecie oświadczył, że namyślił się, cofa rezygnacyę i mandat chętnie przyjmie. Nastąpiła ostra wymiana zdań. Księża Wawrzyniak, Zmidziński i Rybiński natarli na opozycyonistów, wśród których zaplątał się też ks. Donat. Ten ostatni otrzymał od któregoś z konfratrów wyzwisko... durnia, przewodniczący udzielił zapalczywemu księdzu nagany za nieparlamentarne wyrażenie, ale w końcu kandydatura p. Dziembowskiego utrzymała się 22 gałkami przeciwko 16. Dalej już wszystko poszło gładko. Na okrąg gnieźnieńsko-witkowski postawiono kandydaturę dr. Grabskiego, na okrąg wągrowiecko-mogileńsko-żniński — W. Brodnickiego i dr. Połczyńskiego. W poznańskim wiejskim i obornickim postawieni zostali — ks. Mędlewski i dr. Niegolewski. W ten sposób obsadzono pewne i wątpliwe okręgi.

Co do beznajdziejnych, to je obsadzono w następujący sposób: Okrąg wschowsko-leszczyńsko-rawicko-gostyński, kandydaci: Głębocki, Żółtowski, Skrzydlewski; okrąg babimojski — M. Mielżyński, Mycielski; okrąg szamotulski — Mielżyński, Głębocki; okrąg inowrocławski — Krzymiński, Trzciński; okrąg bydgoski — Czarliński, ks. Tesmer i ks. Treder; okrąg czarkowski — Dziembowski, Żebiński; okrąg poznański miejski — M. Więckowski.

Pomimo takiego orzeczenia najwyższej władzy wyborczej nie ustaje pokątna agitacya przeciwko niepopularnym w tym czy owym obozie kandydaturom. Opozycyoniści podkopują grunt pod kandydaturą Dziembowskiego, konserwatyści, jak się zdaje, przygotowują się do secesyi w okręgu p. Głębockiego. Czy knowania te doprowadzą do wyników pozytywnych, trudno obecnie orzec, ale w każdym razie walka, rozpoczęta przed wyborami, będzie się rozwijała i później, przybierając tylko rozmaite formy, stosownie do danej sytuacyi. Walka o osoby ma w rzeczywistości głębszy podkład i bezwarunkowo musi się skończyć wcześniej, czy później usunięciem zareny politycznej przedstawicieli dawnego, służalczego systemu polityki. Zaostrzające się położenie polityczne, wzmagająca się germanizacya rządowa, wzrastający szowinizm hakatystów—wszystko to ułatwia wybicie się na powierzchnię prądów radykalnych politycznie i osobistości, przedstawiających te prądy. Z pp. Głębockim i Skarżyńskim wchodzi do Koła polskiego w sejmie polityka „ostrego tonu,“ p. Niegolewski jest pierwszym reprezentantem narodowej demokracyi. Co prawda, stanowisko „nowych“ żywiołów w sejmie jest o tyle utrudnione, że większość w Kole sejmowem to przedstawiciele dawnych tradycyj, gdy w parlamencie „nowi“ już łatwo mogą zdobyć przewagę.

Gdyby w okręgu pszczyńsko-rybnickim, na Górnym Śląsku wybrano kandydatów polskich, w takim wypadku Koło sejmowe miałoby kilku członków o tendencyi demokratycznej, ale mała tego nadzieja.

Im bardziej zbliża się termin wyborów sejmowych, tem więcej wikła się położenie, wytworzone na Górnym Śląsku wskutek wrzekomego zerwania *Katolika* ze stronnictwem centrowem. Mówię „wrzekomego,“ gdyż od samego początku, kiedy tylko jeszcze przypuszczalnem było przystąpienie p. Napieralskiego do obozu narodowego, wyrażałem wątpliwość co do rzeczywistego charakteru *Katolika*. Zadługo on był bezwzględnym sługą centrum, zanadto przejął się p. Napieralski jezuityzmem swych panów, ażeby mógł z nimi i z ich taktyką zerwać szczerze. Tak jak dziś stoją sprawy, zmiana, zainaugurowana przez p. Napieralskiego, wygląda raczej na sprytne posunięcie na szachownicy politycznej na korzyść centrowców, aniżeli na krok, mogący tym ostatnim zaszkodzić.

Zobaczmy, jak się sprawa przedstawia. P. Napieralski, który z takim uporem zwalczał wszelką myśl usamodzielnienia się Górnego Śląska od wpływów politycznych centrum przed wyborami do parlamentu, ni z tego ni z owego objawia zaraz po wyborach jakąś wprost dziwną chęć zgody. Zgoda rzeczywiście dochodzi do skutku, ale *Katolik* wytargowywa dla siebie niczem niedające się wytłumaczyć ustępstwa. Te ustępstwa zrobione dla miłej zgody p. Napieralskiemu, w dziwny sposób stają się ogólną zawadą taktyki obozu polskiego przed wyborami do sejmu we wszystkich okręgach, z wyjątkiem jednego. Nie czem innem, jak tylko wpływem p. Napieralskiego, da się wytłumaczyć fakt, że polski komitet wyborczy dla Górnego Śląska uchwalił nie brać udziału w walce przy wyborach do sejmu w żadnym z okręgów oprócz pszczyńsko-rybnickiego. W tym jednym okręgu stają polscy kandydaci: dr. Kowalczyk, T. Pardygał i E. Początek, ale i w tym okręgu komitet przyznał *Katolikowi* prawo do abstynencyi. W ten sposób zwolennicy *Górnoślązaka* poczynili daleko idące ustępstwa, nic wzamian od *Katolika* i p. Napieralskiego nie otrzymując.

Niedość tego, p. Napieralski interpretował abstynencyę w ten sposób, że najformalniej popierał w swem piśmie centrowców. Prawie codziennie zamieszczał w *Katoliku* czułe odezwy do centrum, wychwalał jego kandydatów, przedrukowywał skwapliwie wszelkie obłudne oświadczenia centrowców, zmierzające do skaptowania serc ludności polskiej. Poprostu kpił ze swoich sojuszników od *Górnoślązaka*, opowiadając w *Katoliku*, jaką to wdzięczność powinno czuć centrum dla niego, Napieralskiego, bo gdyby nie on, to polski komitet niechybnie postawiłby we wszystkich okręgach własnych kandydatów.

Samą uchwałę, co do powstrzymania się od wzięcia udziału w wyborach, p. Napieralski wytłumaczył w ten sposób, że ona zobowiązuje tylko władze wyborcze, mianowicie komitet wyborczy, ale nie obowiązuje wyborców. Ci powinni poprzeć centrowców.

Zwolennicy *Górnoślązaka* widząc, że ich p. Napieralski wystrychnął na dudków, postanowili ratować, co się da, gdyż postępowanie p. Napieralskiego zupełnie podkopywało ich powagę w oczach szerokich mas. Zwołano więc posiedzenie komitetu wyborczego, na którem ułożono odezwę, tłumaczącą, na czem właściwie polega powstrzymanie się od wyborów i polecającą kandydatów polskich w okręgu pszczyńsko-rybnickim. Ustęp, dotyczący interpretacyi pojęcia abstynencyi, brzmi:

„Rodacy! Gdyśmy przed kilku tygodniami wydali odezwę, donoszącą, że związaliśmy się w polski komitet wyborczy na Śląsk, powiedzieliśmy w niej, że komitet wyborczy przy tegorocznych wyborach sejmowych, z wyjątkiem okręgu pszczyńsko-rybnickiego, gdzie postawieni zostali kandydaci polscy do Koła polskiego, w innych okręgach postanowił zachować abstynencyę. Słowo abstynencya wywołało różnicę w społeczeństwie naszem polskiem na Górnym Śląsku. Wobec tego oświadczamy, że abstynencyę należy rozumieć tak, że ona nie zobowiązuje jedynie komitetu niżej podpisanego, ale wszystkich wyborców polskich! Wzywamy was przeto, rodacy, ażebyście zastosowali się do naszej uchwały, to jest w tegorocznych wyborach do sejmu nie brali udziału.“

Jakkolwiek p. Napieralski występował przeciwko takiemu załatwieniu kwestyi, to jednak zmuszono go do wydrukowania jej w *Katoliku* i *Dzienniku śląskim*. Czy to co pomoże, nie wiadomo, bo p. Napieralski jest zbyt sprytnym politykiem, ażeby nie potrafił zneutralizować tego ciosu.

W każdym razie położenie centrowców przedstawia się wskutek działalności i wykrętów *Katolika* daleko lepiej, aniżeli by to być mogło przy postawieniu samodzielnych, polskich kandydatów we wszystkich okręgach. W tym ostatnim wypadku centrowcy byliby wzięci w dwa ognie— przez narodowców niemieckich i polskich! Musieliby więc albo wejść w porozumienie z obozem polskim, albo też upaść przy wy-

borach. Tak jak dziś stoją sprawy, mają niewątpliwe widoki zwycięztwa, co im pozwala ze spotęgowaną zarozumiałością traktować ruch polski i wszelkie objawy jego samodzielności.

Przykładem takiego postępowania jest ich zachowanie się w okręgu opolskim, skąd dotychczas posłował p. major Szmula. Jest to bogaty właściciel ziemski, uważający się w stosunkach z Polakami za Polaka, ale po za tem typowy patryota pruski i klerykał oddany duszą i ciałem stronnictwu centrowemu. Sam on mówi jeszcze po polsku, ale dzieci, wychowane w duchu niemieckim, języka polskiego nie znają. A jednak i taki „umiarkowany" Polak jest dla centrowców nienawistny, to też starają się go oni wygryźć. Zaprotestowali przeciwko jego kandydaturze w Opolskiem i przeciwstawili mu Niemca Vogta, adwokata. Wystraszony p. Szmula rozpoczął akcyę ugodową, wypierając się w sposób politowania godny wszelkiej wspólności z samodzielnym ruchem polskim, z redakcyą *Gazety Opolskiej*, a w końcu oświadczył, że najzupełniej się solidaryzuje z poglądami hr. Ballestrema na sprawę polską. Centrowcy jednak nie dali się przebłagać i ani słyszeć chcą o kandydaturze p. Szmuli. Teraz więc katolikowcy razem z narodowo-demokratycznymi rozwijają bardzo energiczną agitacyę za wyborem p. Szmuli, który naturalnie znowu wstąpi do centrum i będzie tam tkwił niewiadomo po co aż do następnych wyborów. Czy nie dzika polityka?

Mamy w Poznaniu „Akademię." Zakład ten nie jest niczem innem, jak jednym z objawów tej polityki germanizacyjnej, jaka cechuje wszystkie dary rządu niemieckiego, udzielane kresom wschodnim. Po wielkiem muzeum niemieckiem, po bibliotece niemieckiej przyszła kolej na coś podobnego do uniwersytetu, ale coby w rzeczywistości uniwersytetem nie było, a więc nie dawało ludności polskiej żadnych korzyści. Zdecydowano się więc na oryginalny wyższy zakład naukowy, mający obejmować: 1) kursy ćwiczeń fachowej nauki uzupełniającej; 2) prelekcye naukowo-uzupełniające; 3) wykłady ogólno-naukowe; 4) kursy uniwersytecko-popularne z dziedziny filozofii, literatury niemieckiej, francuskiej i angielskiej, filologii, historyi, geografii, ekonomii politycznej, nauk przyrodniczych i sztuki. Później dołączone będą także wykłady z dziedziny medycyny i prawa. W akcie fundacyjnym powiedziano wyraźnie, że ma ona stać się krzewicielką i ogniskiem niemieckiej nauki i ducha niemieckiego.

Podczas uroczystości inauguracyjnej, która się odbyła w gmachu muzeum prowincyonalnego, rektor akademii zaznaczył całkiem niedwuznacznie, że celem jej będzie przedewszystkiem popieranie nauki niemieckiej w duchu obecnej polityki pruskiej wobec kwestyj narodowych.

Na razie zapisało się około 400 słuchaczów. Ażeby dać przykład społeczeństwu niemieckiemu, naczelny prezydent v. Waldow zapisał jako słuchaczkę własną żonę. Wogóle zapisało się bardzo dużo osób dla samej manifestacyi, dla zadokumentowania swej solidarności z tendencyami polityki rządowej i dla przypodobania się władzom!

Co do Polaków, to na razie zwyciężyło hasło powstrzymania się, ale dają się słyszeć głosy, że i Polacy mogliby z wykładów akademii—przynajmniej niektórych—skorzystać. Sfery rządzące wywarły nacisk na arcybiskupa Stablewskiego, aby nakazał klerykom-Polakom uczęszczanie do akademii. Stablewski zgodził się na to z właściwą sobie skwapliwością, skutkiem czego powstało starcie pomiędzy nim a klerykami. Kiedy polscy klerycy seminaryum duchownego postanowili oprzeć się żądaniu arcybiskupa i nie chodzić na wykłady akademii, postanowił on opornych relegować. Co do wychowańców, mających w przyszłości wstąpić do seminaryum, to ks. Stablewski polecił brać od nich deklaracyę, że będą słuchali wykładów akademii.

To zachowanie się ks. Stablewskiego wywołało nieukrywane niezadowolenie w szerokich kołach społeczeństwa polskiego. Prasa opozycyjna niedwuznacznie wypowiada się przeciwko zarządzeniom arcybiskupa i piętnuje zachowywanie się organu ks. Stablewskiego — *Kuryera Poznańskiego*. Sprawa relegowania opornych kleryków nie jest jeszcze rozstrzygnięta. Prawdopodobnie ugną się oni przed wolą swego zwierzchnika i poczną chodzić na wykłady. Gdyby się tak jednak nie stało i seminarzyści zostali relegowani, opinia publiczna byłaby mocno podrażniona i powaga ks. Stablewskiego, mocno już nadszarpnięta jego poprzedniemi, służalczemi wystąpieniami, otrzymałaby nowy cios bolesny.

Pośrednik.

O potrzebie reform społecznych.

Odczyt byłego ministra.

Baron Berlepsch, były pruski minister handlu, a obecnie prezes niemieckiego stowarzyszenia reform społecznych, miał niedawno w Hamburgu odczyt publiczny p. t. „Dlaczego popieramy reformy społeczne?" Odczyt ten zasługuje na poznanie ze względu właśnie na osobistość i stanowisko swego autora, na charakter reprezentowanych przez tegoż kół. Są to przecież sfery, nic a nic niemające wspólnego z demokracyą społeczną, sfery, które serdecznie się cieszyły, gdy w końcu października zebrał się po raz pierwszy we Frankfurcie n. M. kongres organizacyj robotniczych *nie*-społeczno-demokratycznych, lecz chrześciańskich i monarchicznych, sfery, które chcą wytworzyć konkurencyjne dla demokracyi społecznej stronnictwo robotników, wiernych cesarzowi, państwu i religii. Ich to zapatrywania oddaje baron Berlepsch, b. minister bismarkowski i prezes stowarzyszenia reform społecznych.

Za cel swojego odczytu podaje on—przełamanie, o ile możności, oporu czynnego i biernego, otwartej niechęci lub „niepojętej obojętności," z jaką szerokie koła warstw posiadających i wykształconych spoglądają na dążenia pracujących do lepszych warunków bytu. Jednym z argumentów tych nieprzyjaciół reform społecznych, zmierzających do poprawy bytu najemników, bywa, że w dzisiejszych czasach chłopu, rzemieślnikowi, drobnemu kupcowi, powodzi się często gorzej, niż robotnikowi fabrycznemu. Berlepsch twierdzenie takie uznaje za słuszne tylko w tym wypadku, jeśli się porównywa drobnego przedsiębiorcę z bardzo małym kapitałem lub kredytem, lub zupełnie tych środków pozbawionego, z robotnikiem fabrycznym, dobrze płatnym, i któremu w dodatku zła konjunktura przemysłowa nie obniża płacy ani odbiera zajęcia. A takich jest bardzo mało. Jeśli natomiast porównywać klasę najemników z klasą drobnych przedsiebiorców, to bezwarunkowo położenie pierwszych jest o wiele gorsze.

Drugą pobudką jest wielka liczebność klasy najemników: w przemyśle i rolnictwie razem jest ich 12 milionów, a licząc drugie tyle członków ich rodzin, wynosi to prawie połowę całej ludności cesarstwa niemieckiego!

Położenie materyalne tej klasy niewątpliwie polepszyło się nieco w ciągu ostatnich dziesięcioleci. O porządną, pewną statystykę zarobków bardzo jest trudno; nie istnieje ona dotychczas. Ale same choćby tabele podatku osobisto-dochodowego dowodzą niejakiego polepszenia się bytu klas pracujących. Tak np. w Prusach jeszcze w r. 1892 aż 70% opodatkowanych miało całkowity dochód roczny poniżej 900 marek, w 1900 r. już tylko 62%; podobnie w Saksonii, gdzie w 1894 r. 34% miało dochód poniżej 500 m., obecnie (w 1901) jest takich biedaków tylko 28%. „Ciesząc się bardzo z tego polepszenia i spodziewając się nawet, że trwać ono będzie w dalszym ciągu, nie możemy w niem widzieć rozwiązania kwestyi robotniczej. Położenie robotnika nie może przecie być uważane za zadawalające, gdy dochód jego wystarcza akurat tylko na pokrycie wydatków na jedzenie, ubranie, mieszkanie i inne niezbędne potrzeby; robotnicy powinni przecie mieć udział w ogólnym postępie kultury." A na to im w ogromnej większości wypadków — nie wystarcza. Zarobek całoroczny nawet robotników fachowych w miastach przemysłowych z całą ich drożyzną bardzo często spada poniżej 900 marek; niefachowi robotnicy płatni są znacznie gorzej. Zarobek dzienny 3 marek w większych miastach, 2 m. w mniejszych (w tej liczbie znajdują się i miasta w polskich prowincyach, Poznań, Katowice itd.) jest przeciętnym. Jeśli odliczyć święta i dni braku pracy, to dochód roczny 625 m. będzie raczej przypuszczeniem zbyt wysokiem, niż zbyt nizkiem. Cóż zaś dopiero mówić o robotnikach domowych, pracujących dla przedsiębiorców po 12 do 17 godzin na dobę za zarobek tygodniowy 8 do 15 marek najwyżej! Co mówić o masie pozbawionych pracy, którą, podług ankiet częściowych, oznaczyć trzeba w miastach na 5% ogółu zatrudnionych!

Weźmy robotnika w większem mieście z żoną i trojgiem nieletnich, niezarabiających jeszcze dzieci; przypuśćmy, że zarabia on stale 900 marek rocznie; jakiż będzie budżet tej rodziny? Mieszkanie — 200 marek, jedzenie — 500, ubranie — 100, opał i światło — 50; zostaje 50 marek na wszystko inne — na odnawianie i dopełnianie sprzętów, na potrzeby szkolne dzieci, na przejazd do fabryki, jeśli jest oddalona, wreszcie na wypadek choroby! Lepiej płatnych robotników jest bardzo mało, gorzej płatnych — bardzo dużo. „Trzeba więc pewnej śmiałości, żeby w tych warunkach mówić wogóle o przesadnych żądaniach robotników, o ich chciwości i chęci używania" — mówi p. minister. „Kto nie zamyka dobrowolnie oczu na nędzę bliźnich — ciągnie dalej — ten musi przyznać, że większa część robotników żyje w niedostatku, a znaczna część — poprostu w biedzie i nędzy, w pełnem znaczeniu tego słowa, w codziennej trosce o zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb, o jedzenie, odzienie, dach nad głową. I, jak zawsze, z nędzy materyalnej wynika moralna. Czy nie wiemy o okropnych mieszkaniach robotniczych, o demoralizacyi, wynikającej z natłoczenia ludzi, często obcych, o pijaństwie, wynikającem stąd, że robotnik ma wstręt do spędzania wolnych chwil we własnem mieszkaniu? W ciągu 20 lat ostatnich ogólna ilość przestępców, skazywanych na ciężkie więzienie poprawcze, zmniejszyła się, ale—rzecz straszna—ilość *młodych* przestępców powiększyła się absolutnie i stosunkowo. Dlaczego? Nic dziwnego. Prawodawstwo nasze opiekuje się niby dziećmi robotniczemi, ale po skończeniu 14 roku życia dziecko może już pracować w fabryce 10 godzin dziennie, po skończeniu 16-go roku — bez ograniczenia żadnego, posiada własne pieniądze, a nie podlega ani dobroczynnemu wpływowi szkoły wieczornej, bo po 10 godzinach wyczerpującej pracy albo wcale do niej nie chodzi, albo z niej absolutnie nic korzystać nie może, ani — opiece rodziców. Jak może robotnica-matka opiekować się dziećmi, jeśli jej życie, podług sprawozdania

panny Brandt, inspektorki fabrycznej w Karlsruhe, upływa jak następuje: O godz. 7 rano musi być w fabryce. Przedtem trzeba ubrać się, przyrządzić śniadanie dla całej rodziny, ubrać dzieci i wysłać do szkoły, posprzątać mieszkanie choć trochę. Do fabryki może niezbyt blizko; wstać więc trzeba najpóźniej o 5 rano. Licząc 1½-godzinną przerwę na obiad, która pozwoli robotnicy pójść do domu i dać obiad całej rodzinie tylko w tym wypadku, jeśli do mieszkania niedaleko i jeśli wieczorem przygotowała sobie wszystko na drugi dzień, licząc dwie przerwy po kwadransie na drugie śniadanie i podwieczorek i 10 tylko godzin pracy, widzimy, że dopiero o 7-ej wieczór robotnica kończy pracę w fabryce. Na powrót do domu, zajęcia gospodarskie, ułożenie dzieci na spoczynek zostaje 3 godziny, bo o 10-ej przecie trzeba iść spać, jeśli się ma wstać o 5-ej. Czyli — 17 godzin ciężkiej, gorączkowej, nerwy drażniącej pracy. Gdzie tu myśleć o wychowywaniu dzieci, o wywieraniu na nie jakiegoś wpływu? A liczba zamężnych robotnic, zatrudnionych w przemyśle niemieckim, ciągle wzrasta!

Z tego wszystkiego baron Berlepsch wyprowadza wniosek, że już samo uczucie litości oraz sprawiedliwości powinno prowadzić do popierania nowych, głębszych reform społecznych. Ale w tym samym kierunku powinien, jego zdaniem, działać i rozum polityczny. Nowe reformy społeczne są niezbędne, jeśli klasa pracująca nie ma w całości rzucić się w objęcia demokracyi społecznej. Muszą one być przeprowadzone w różnych dziedzinach. A mianowicie: z istniejących praw, dotyczących ubezpieczenia robotników od choroby, kalectwa i na starość jest Berlepsch dość zadowolony, również z działalności sądów przemysłowych jako polubownych (zdaniem *naszem*, działalność ta jest ograniczona i mało skuteczna, gdyż przemysłowcy najczęściej od sądu polubownego lub od wykonania jego wyroku się uchylają); natomiast w zakresie ochrony pracy uważa za pilne i niezbędne: zmniejszenie dnia roboczego dla kobiet z 11 na 10 godzin *maximum*, wprowadzenie normalnego dnia roboczego dla dorosłych, przedłużenie ochrony pracy nieletnich z 16 do 18 lat życia. Za najważniejszą zaś i najpilniejszą reformę uważa zapewnienie robotnikom zupełnej wolności koalicyi. Jest to istotnie kwestya paląca, oddawna stojąca na porządku dziennym życia społecznego i politycznego w Niemczech.

Erka.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Ore rotundo.

Istnieje na polskim świecie mąż, który zajmował się potrosze historyą, geografią, folklorem, który nazywa się Maksymilian Kawczyński i jest profesorem w Krakowie, o którym jednak 18 milionów rodaków nic dotąd nie wiedziało. I oto ten skromny mąż stał się nagle sławnym, gdyż dzienniki ogłosiły najpełniejszy z dotychczasowych podręcznik obelg polemicznych z jego broszury przeciwko E. Porębowiczowi, P. Chmielowskiemu i A. Brücknerowi. Pierwszy z tych uczonych napisał krytykę roboty folklorystycznej p. M. K., dwaj inni poparli go swą powagą w sporze publicznym, jaki się z tego powodu wywiązał. Chmielowski i Brückner są powszechnie znani ze spokojnej rozwagi, Porębowicz zaś, obok rozległej wiedzy, posiada w swem piórze wytworność. Trzeba to sobie uprzytomnić, ażeby ocenić należycie wartość moralną owego podręcznika, z którego kilka prób wyjmujemy:

„Porębowicz ze Lwowa chciał mi świstnąć... zegarek może? Nie, on chciał mi świstnąć zasługę naukową... język na mnie wyszczenił, tył pokazywał... Krętacz, szarlatan, nieuk i kłamca... złośliwy pies... złoczyńca.... przerażający swoją głupotą.... w bezczelnem kłamstwie przewyższający wszystkich szarlatanów na świecie... potrójny kiep... prawdziwy szubrawiec... oszust naukowy... głupkowaty brudas... żadne cielę nie bekło tak głupio...“ itp. *Nota bene* autor tych ślicznych „epitetów zdobiących“ zastrzegł, że w wynajdywaniu i używaniu ich „powstrzymywał się,“ łatwo więc odgadnąć, ile jeszcze w swej głowie zachował i do jakich granic sięgnąłby swym talentem, gdyby go był swobodnie rozpuścił. To też trzeba przyznać, że wywołał zdumienie nawet w tych organach prasy, które posiadają bogaty słownik wymysłów. Przyzwoite uniosły się zgrozą. Według nas, niema nad czem szat rozdzierać. P. Kawczyński sprowadził „umiarkowaną“ polemikę na ten poziom, na którym powinien zakończyć się spór naukowy a zacząć interwencya zwierzchności szkolnej, któraby mu powiedziała: „Pan profesor poddasz się badaniu psychiatrów; jeżeli cię uznają chorym, otrzymasz paromiesięczny urlop dla leczenia się; jeżeli zaś uznają cię zdrowym, opuścisz stanowisko przewodnika młodzieży, a w zamian za nie dostaniesz pozwolenie na bawaryę w Podgórzu. Tam możesz przemawiać *ore rotundo*.“

Zdawało się, że nieprędko ktoś dorówna p. Kawczyńskiemu w obelżywości. I rzeczywiście, co do formy, zachował on dotąd swój *record*, ale co do treści już został prześcigniety. P. B. Koskowski, wspomniawszy w *Kuryerze Warszawskim* o jego broszurze, zawyrokował, że tego rodzaju polemiki „są w Warszawie zjawiskiem zwykłem.“ Według niego tylko dwoje „wyjątkowych dzieci szczęścia,“ pp. Ochorowicz i Smolka, prowadzili z sobą przed paru laty polemikę godnie, *cała zaś reszta pozostałych* wynajduje obelżywe słowa i rzuca puste wyrazy.“ Wreszcie po krótkiem wahaniu wyznaje p. K.: „Mówiąc bez ogródek — to *u nas w świecie dziennikarskim niema z kim mówić*.“

Wiemy, coby odpowiedziała wrażliwa na swój honor prasa zagraniczna, gdyby ktoś odważył się, tak ją potraktować *ore rotundo*. Ale ciekawi byliśmy bardzo, jak się też zachowają wobec tej pogardy pisma nasze. Do chwili, w której piszemy, jedno tylko podniosło obrazę i odczytało na niej... cudzy adres: „Gyby ze strony *pewnych* dziennikarzy można się było spodziewać konsekwencyi, to powinnaby w *niektórych zakątkach prasy* wybuchnąć burza.“ Na Pawła i Gawła, idących pod rękę, zawołano: hultaje! Obejrz się — mówi Paweł — ktoś cię woła. „U nas w świecie dziennikarskim niema z kim mówić,“ bo „cała reszta pozostałych polemistów“ (po za pp. Ochorowiczem, Smolką, no i Koskowskim) zwyczajne łobuzy — to znaczy, według *Gazety Handlowej*, rozumującej „konsekwentnie,“ że „pewni dziennikarze w niektórych zakątkach prasy powinniby się oburzyć,“ inni zaś mogą nie odnosić do siebie tej „hyperbolicznej ozdoby stylowej.“ Bardzo pięknie. Zamiast jednego, mamy teraz dwa niezawodne fakty: 1) że p. Koskowski słusznie obawia się polemik z kimkolwiek, bo najdelikatniejsza stalówka jest zbyt ostrą i niebezpieczną dla mocno nadętego pęcherza i 2) że jego uwaga po odpowiedzi *Gazety Handlowej* zyskała nieco więcej racyi. *G.*

Przeklęty obowiązek.

Niemcy słusznie obowiązek trudny nazywają „przeklętym.“ Ach, czytelniku, gdybyś ty raz zażył rozkoszy ogłoszenia jakiegoś pieprznego skandaliku, po który zlatują się do kantoru dziennika tłumy ciekawych dla kupienia numeru z tym przysmakiem — wiedziałbyś, co to jest rozkosz wydawcy. A gdybyś musiał spełnić „przeklęty obowiązek“ pisania o fakcie, który chętnie zakopałbyś do środka ziemi — zrozumiałbyś, co to jest męka. Dzikie wycia i napaści hakatystów, proces hr. Kwileckiej itp. — to są specyały; ale nieszczęsne rozporządzenie „czcigodnego arcypasterza“ poznańskiego, ażeby klerycy seminaryum uczęszczali do Akademi germanizacyjnej pod groźbą najsurowszych kar—okropność! Co z tym fantem zrobić? Zamilczeć niepodobna, bo gazety zagraniczne na wszystkie strony trąbią, parskając śmiechem. Donieść trzeba—ale jak? Pochwalić nie można, ganić nie wypada, więc pozostaje tylko „objektywne przedstawienie rzeczy w najłagodniejszej formie.“ Z najmiększego jednak worka wyłazi duże szydło, które tak straszliwie kłuje, jak gdyby chciało zdradzić ukrytą złośliwość niewinnej redakcyi. Ażeby przyzwyczaić wyżły do przynoszenia „lekko“ zabitej zwierzyny, myśliwi uczą je aportowania kul z obszytymi w pakuły gwoździami, które przy mocnem ściśnięciu ranią psie podniebienie. Nasi dobrze wytresowani publicyści umieją w potrzebie tak przynosić czytelnikom zabitą zwierzynę, że nie pozostawiają na niej śladu dotknięcia, ale nie należy od nich wymagać, ażeby martwą przywracali do życia. Dość, gdy zataili udział wszystkich dostojników kościelnych w uroczystości otwarcia Akademii; biednych alumnów nie są w stanie przedstawić bez śladów gwałtu. Przezacni duszpasterze poznańscy, miejcie wzgląd na waszych wiernych czcicieli i albo przestańcie pomagać do kręcenia korbą sieczkarni germanizacyjnej, albo nie gniewajcie się na prasę naszą, że czasem nagarnie w swe koszyczki trochę tej waszej sieczki i pokaże ją — bez słowa krytyki.

Grymasy.

Grono osób interesowanych podało skargę do zarządu kolei Petersburskiej przeciwko nowemu rozkładowi jazdy, wyznaczającemu zbyt wczesne godziny odejścia dla dwóch pociągów popołudniowych. Co za grymasy! Kolej Nadwiślańska zniosła na linii Mławskiej zupełnie popołudniowe, a nawet — w obecnej porze—i dzienne pociągi i trzeba się z tem pogodzić. Z Warszawy do Mławy wyjechać można tylko w nocy (12,33 i 7,43 rano), co ze względu na odległość dworca i bandytyzm jego okolic jest bardzo przyjemnem, wygodnem i bezpiecznem. Wątpimy, czy jakakolwiek droga żelazna w Europie zdobyła się na równie wymowny dowód dbałości o potrzeby miasta, liczącego 700,000 ludności. W epoce nieurodzaju na oryginalność powinny być wysoko cenione nawet takie jej przejawy, tem bardziej, że owa nocna reforma ruchu osobowego kolei Nadwiślańskiej wprowadzona została na życzenie łączących się z nią dróg pruskich. Niepodobna było odmówić tak drobnej usługi uprzejmemu sąsiadowi, którego podróżni przy dawnym rozkładzie musieli albo długo nie spać, albo rano wstawać. Nam zaś bardzo łatwo jeździć w nocy na dworzec za miastem.

Zbyt wysunięte pazury.

Proces hr. Kwileckiej przelewa się już wszystkimi brzegami naszej prasy. Jakkolwiek hrabina nie ma dziś przed światem tajemnic, gdyż dzięki śledztwu, badaniu i opisom znamy najdrażliwsze szczegóły jej budowy i życia, w tem akuszeryjno-kryminalnem błocie nie pływa żaden inte-

res ogólniejszego znaczenia, tylko wstrętny tłuszcz, chciwie pożerany przez wiecznie głodną ciekawość lakierowanego tłumu. Oszustwa, podstępy, walki sądowe dzikich instynktów o sporną zdobycz są zjawiskiem zwyczajnem i przez opinię publiczną pomijanem, o ile w nich nie uczestniczą zapaśnicy utytułowani. Ale ta obrzydliwa sprawa odsłoniła raka, który zasługuje na bliższą uwagę. Dumne hasło starej daty: *il y a des juges à Berlin* pozostało dla Niemców tylko miłem wspomnieniem, rzucającem ironiczne światło na stosunki obecne. Powtarzająca się ustawicznie stronność wyroków, uniewinnianie okrutników wojskowych a zakuwanie w kajdany redaktorów pism opozycyjnych, nadużywanie surowości prawa w usługach polityki — są to fakty oddawna stwierdzone. Nigdy wszakże procedura pruska nie ujawniła tak oczywiście swej tendencyjności, jak w procesie Kwileckich, w którym pobudki nienawiści plemienno-politycznej popchnęły ją do jawnych gwałtów. Prokurator przyznaje się, że własnym kosztem sprawił ubranie sprowadzonemu z Krakowa chłopcu, upodobniając go do małego Kwileckiego, zeznających na korzyść podsądnej świadków każe więzić, prezydujący odmawia dopuszczenia ich do przysięgi lub grozi pociągnięciem do odpowiedzialności za krzywoprzysięstwo itp. Losy Kwileckich są dla Niemców zupełnie obojętne, ale działanie maszyny sądowej nie jest im obojętne. Otóż widzą oni, że ta maszyna nie działa już prawidłowo, że stała się niebezpiecznem narzędziem stronności i samowoli, że dziś zarzyna „obcych,“ a jutro weźmie pod swe noże rodaków. To też całkiem niezależnie od sympatyi dla oskarżonych odezwał się w prasie niemieckiej alarm, nawołujący do reformy sądownictwa, które utraciło dawną rzetelność i na szalach fałszywej sprawiedliwości odważa krzywdy. Pod wpływem nienawiści rasowej za daleko wysunęło swe pazury.

Znowu filantropia lekarzy.

W tych dniach (15 b. m.) powstał instytut użyteczności publicznej wielkiego znaczenia wychowawczo-hygienicznego, instytut bar. Lenvala. Możny ofiarodawca zapisał kilkaset tysięcy rubli na to, ażeby dzieci szerokich mas ludności w sposób praktyczny uczyć hygieny. Jako środek do osiągnięcia tego, w specyalnie na ten cel zbudowanym gmachu, urządzono przyjęcia ambulatoryjne z zakresu wszystkich chorób okresu dziecięcego, ażeby lekarze mieli sposobność pouczać matki i, zalecając różne przepisy, a przedewszystkiem czystość (w zakładzie urządzonych jest kilkadziesiąt wanien i kilka natrysków), postępować w myśl ofiarodawcy. Wzniesiono piękny gmach dwupiętrowy z gabinetami lekarskimi, z salą gimnastyczną, z kąpielami, pamiętano nawet o szczegółach w urządzeniu, o wynagrodzeniu wszystkich, dających materyał lub pracę na wzniesienie instytutu, zapomniano tylko..... o wynagrodzeniu lekarzy, stanowiących właściwie podstawę umysłową i moralną instytucyi. Z pozostałych resztek pieniędzy wyznaczono im drobne sumki (50—100 rb. rocznie), niewystarczające nawet na opłacenie dorożek na ulicę Litewską. Postępując w ten sposób, odrazu u podstaw podcięto naszem zdaniem byt instytucyi. Instytucya tej miary i wagi, nie może stać na bezpłatnej prawie obsłudze najważniejszych swych funkcyonaryuszów-lekarzy. Społeczeństwo nasze aż nazbyt często zapomina, że wogóle tylko opłaconej pracy można stawiać pewne wymagania i że młodzi lekarze filantropami żadną miarą być nie mogą. Przedewszystkiem swój czas i energię muszą oni poświęcać temu, co im byt daje, a resztki zbywające i zmienne, bo zależne od nieprzewidzianych okoliczności, mogą oddać jakiejś instytucyi filantropijnej. Kiedy przed kilku laty zakładano u nas instytucyę publiczną, bardzo, jak się okazało potrzebną, — Pogotowie Ratunkowe i kiedy chciano ją oprzeć na dobrej woli i ofiarności młodych lekarzy, mających „dużo wolnego czasu,“ uderzyliśmy na alarm w łamach *Prawdy*; i doprawdy, ładnie by dziś wyglądało „Pogotowie,“ gdyby zależało od wolnego czasu lekarzy. Opłacając należycie służbę lekarską, stoi ono na trwałej podstawie. Z drugiej znów strony weźmy nasze Towarzystwo dobroczynności. Stanowczo twierdzę, że działalność kilkudziesięciu lekarzy w tem Towarzystwie równa się prawie zeru, a bezpłatna, masowa pomoc ambulatoryjna posiada znaczenie minimalne.

Agitujmy na korzyść instytucyj publicznych, werbujmy „zacnych“ ofiarodawców, powiększajmy wszelkimi środkami fundusze podobnych zakładów, ale nie opierajmy ich działalności na bezpłatnej pomocy funkcyonaryuszów, bo bardzo kruchą będzie podstawa takich zakładów, a zainteresowani będą mieli wszelkie prawo zażądać, by np., jak w danym wypadku, nazwę *instytut barona Lenvala* zmieniono na nazwę: *instytut młodych lekarzy*, boć istotnie, procentowo większymi filantropami będą tu młodzi lekarze, niż możny ofiarodawca.

Wystawa.

W ostatnich dniach zamknięto w Salonie Krywulta wystawę Henryka Piątkowskiego, która zawierała z górą setkę obrazów, z najrozmaitszych epok działalności artysty zebranych. Autor, zdaje się, że chciał zgromadzić tam wszystko, co się tylko dało, a ocenę już zostawił samej publiczności. Tak urządzony popis, jak go pojął p. Piątkowski, robił przykre wrażenie, jakby bezwzględnego jakiegoś wystawienia wszystkiego na licytacyę, lub ogólnej spowiedzi grzesznika artystycznego, który woła: „Chwalcie za dobre, a kamienujcie za złe!“

Tymczasem wystawa, obejmująca kilkudziesięcioletni okres działalności artysty, powinna zawierać tylko dzieła najlepsze, które z czasem mogą scharakteryzować go i złączyć się nierozdzielnie z jego nazwiskiem.

Największym talentom zdarza się stworzyć dzieło słabsze i nawet pochwalić się niem publicznie. Ale to się robi pod wrażeniem i bezpośrednio po wykonaniu, kiedy samokrytycyzm nie miał jeszcze czasu przyłożyć swego strychulca.

W takiem pomieszaniu rzeczy słabych z dobremi pierwsze zabijają drugie, i odbiera się wrażenie, jak gdyby sam autor podsuwać chciał materyał do surowszej na siebie krytyki.

Czyż ten, kto patrzy na „Dramat w hotelu,“ rozpierający się na całej ścianie, może zauważyć w kącik wciśnięty, doskonały portret p. Matuszewskiego?

Ostatni jest wytwornem dziełem sztuki, gdy pierwszy — niby powiększoną ilustracyą z gazetki, zajmującej się sensacyjnemi zbrodniami i wypadkami dnia. Nie poprawi tego wrażenia nawet wiadomość, że ten obraz był wystawiony w Salonie paryskim.

A jednak p. Piątkowski jest równie dobrym malarzem, jak znawcą naszej sztuki i zręcznym szermierzem pióra. Kilka portretów, szczególniej z czasów dawniejszych, jest pełnych życia, prawdy i siły. W krajobrazach przebija usiłowanie oddania tego, co w nich jest najcharaktyrystyczniejsze, tj. światła i pleneru, a o czem dawniej artyści nawet nie myśleli. Za to symbolika znajduje w p. Piątkowskim gorliwego, ale mniej szczęśliwego wielbiciela.

S.

Nożownictwo.

Quousque tandem... możemy zapytać, czytając nieustannie wiadomości o strasznej epidemii moralnej, występującej w naszem społeczeństwie pod postacią rzezania się nożami, które stało się niejako modą, a nawet sportem wśród zgangrenowanych warstw naszego miasta.

Nie ulega wątpliwości, że obok pewnych warunków ogólno-kulturalnych, sprzyjających powstawaniu i plenieniu się podobnych objawów zwyrodnienia etycznego, niepoślednią rolę w naszem miejscowem nożownictwie odgrywa niemal że bezkarność za dopuszczanie się przestępstw przeciwko bezpieczeństwu publicznemu.

Zapewne, że wołanie policyi na pomoc nie rozstrzyga wcale sprawy; trzeba tę dziczkę podciąć u korzenia i grunt pod lepsze płonki uprawić. Poprawmy materyalne warunki bytu mas, dajmy im istotną i rzetelną oświatę, uczyńmy losy całego społeczeństwa ich losem, wzbudźmy w nich uczucia humanitarne, to nożownictwo, jako objaw zbydlęcenia, przejdzie do przeszłości i zostanie tylko w tradycyi.

Od ludzi, dla których społeczeństwo złą jest matką, nie możemy wymagać podzielania zasad naszej moralności, ponieważ oni jej nie rozumieją, a nawet do pewnego stopnia rozumieć nie mogą. Prawdziwa tragedya na tem polega, że ofiarą noża pada nie ten, któremu pchnięcie się należy, jako hodowcy kalek moralnych i wyrzutków społecznych, lecz niewinny przechodzień, który może współczuje z nieświadomemi ofiarami wadliwego ustroju. Posiew egoizmu wydaje plon bujny, ale owoce tego plonu są gorzkie. Gdzie niema miłości, chociażby tej samej, o której tak pięknie prawić umiemy, tam bujnie pleni się rozpusta i rozpasanie, a nóż staje się narzędziem etyki zawodowej i wyrazem potrzeb moralnych oraz społecznych bandy opryszków.

To też pierwszem lekarstwem na zło jest niewątpliwie poprawa naszych stosunków społecznych. Lecz z drugiej strony i to rzecz pewna, że gdyby za należenie do cechu nożowego prawdziwa i bolesna groziła kara, to liczba amatorów tego zwierzęcego sportu zmalałaby niepomiernie, a bezpieczeństwo publiczne zwiększyłoby się znakomicie. Obecnie kary za rozprawy nożowe na miano kar nie zasługują, to też o poskromieniu tej klęski w dzisiejszych warunkach i mowy być nie może. Powrót do chłosty cielesnej pachnie zanadto barbarzyństwem; lecz skoro wysoce postępowa Anglia, którą plaga nożowa w ostatnich czasach także trapić zaczęła, zdobyła się pod naciskiem konieczności na bill, przywracający chłostę cielesną na nożowników, to chyba niema już innej skutecznej rady na tę ohydę i bylibyśmy zupełnie usprawiedliwieni, gdyby i nasza władza uciekła się do tego drastycznego środka, którego już się opinia publiczna domagać zaczyna.

Bezeceństwo.

Przed sądem przysięgłych w Berlinie toczy się od dwóch tygodni skandaliczny proces rodziny Kwileckich, a brudne szczegóły wstrętnej sprawy, z której bez względu na jej ostateczne rozwiązanie, nikt czystym nie wyjdzie, stały się przedmiotem skrzętnych wywiadów reporteryi warszawskiej. Pisma codzienne zapełniają całe kolumny najdrobiazgowszymi opisami wielkopańskich bezeceństw. Zabiegi konkurencyjne uczyniły je głuchemi na głosy protestu, podnoszące się wśród czytającej publiczności przeciw tym zapachom sypialni i domu dla położnic, unoszącym się nad ich szpaltami i zabiły w nich wszelkie poczucie delikatności i dobrego smaku. W imię więc tych, którym się sprzykrzyła ta pogoń za grubą, ordynarną sensacyą, przytaczamy jeden z listów, któreśmy odebrali w tej sprawie:

„I pytam się, czy niema spo[illegible]u wytłumaczyć im, tej części prasy, co służy do codziennego użytku, że towar ten, [illegible]rym ona

obecnie handluje, jest marny, lichy, w podłym gatunku? Że proces Kwileckich, który przy normalnych warunkach powinien się rozstrzygać za zamkniętemi drzwiami i tylko z umysłu Niemców rozwlekły i głośny, z rezultatów do żadnych wniosków doprowadzić nie może i w gruncie rzeczy społeczeństwa zupełnie nie obchodzi? Że rozmazywanie do tych rozmiarów, do jakich rozmazuje go nasza prasa codzienna, obliczając na powodzenie wśród niezdolnej do krytyki części prenumeratorów i naściągnięcie większej ich liczby, oddziaływa na społeczeństwo, które bądź co bądź łaknie tej codziennej strawy, wysoce demoralizująco, a podniecając w niem niezdrową ciekawość, drażniąc sprosnymi duchowo szczegółami, pobudza go do umysłowego onanizmu?

I pytam się, czy prasa ta nie pojmuje, że podając pokarm taki, schodzi z godności handlu wiadomościami do rzędu sklepikarstwa, spekulującego odpadkami i niezdrowymi ochłapami?

I czy ta część prasy zdrowsza nic nie jest w stanie zrobić, by padającą swą siostrę, służącą do codziennego użytku, podtrzymać i postawić na nogi? *Stefan W.*

BADANIA NAUKOWE.

ZDOLNOŚĆ ROZWOJU pierwotnych ludów. *)

Podczas gdy dawniejsza szkoła liberalna w usiłowaniu naukowo-przyrodniczego uzasadnienia haseł równości i wolności dochodziła czasem, aż do przeczenia rzeczywiście istniejącym różnicom w stopniu osiągniętej już kultury, szukają nacyonaliści, dla wstecznych swych tendencyj, naukowej podstawy w jak najostrzejszem zaznaczania przyrodzonej nierówności między ludźmi. Do najwięcej znan*ych przedstawicieli tego kierunku należy hrabia Gobineau, który „rasę aryjską,“ kosztem wszystkich innych pod niebiosa wynosi, oraz Houston Steward Chamberlain, obecnie najświetniejszy jego przedstawiciel, którego dzieło: „Podstawy XIX wieku,“ liczące przeszło 1,000 stronnic w przeciągu niespełna lat czterech, doczekało się, aż czterech wydań.

W tem dziele pomnikowem szowinizmu całe rozumowanie opiera się na zasadniczym. a wszystkim dotychczasowym teoryom rasowości wspólnym błędzie: przecenianiu własnych zalet a wyolbrzymianiu cudzych błędów. W tem przecenianiu leży również źródło odmawiania ludom, stojącym na niskim stopniu kultury, zdolności do dalszego rozwoju, któremu pono przeszkadzają niezmiennie właściwości rasowe. Tymczasem współczesna etnografia coraz pewniej wykazuje, że nieżyczliwe sądy o rasach, które dotychczas w tyle pozostały, pochodzą od badaczy powierzchownych i mało zasługujących na wiarę. Sądy wiarogodniejsze, bo będące wynikiem sumiennych i poważnych studyów, składają się na obraz o wiele korzystniejszy, którego rysy poszczególne znajdujemy rozproszone w dziełach fachowców tej miary, jak Ratzel i Waitz. Tych rysów wielka jest rozmaitość, bo człowiek pierwotny znajduje się w ogromnej zależności od swojego otoczenia i odźwierciedla je snadnie w całej swojej istocie. Wszakże znamy wiele ras „niższych,“ u których kobieta zajmuje stanowisko poważne, a uczciwość ceniona jest wysoko. Ogromna miłość dzieci wyklucza u wielu plemion murzyńskich bicie dziecka, kary cielesne uważać każe za niemożliwe i niepotrzebne. Spotkać się też tu można — o ile stosunki na to pozwalają, — i z pełną czułości względnością dla starszych i słabszych. Gobineau utrzymuje, że poczucie honoru właściwe jest tylko aryjczykom. Sprzeciwiają się temu niezawodne dane, zebrane o przesadnem prawie pojęcia honoru u murzynów, beduinów, tunguzów. Zwłaszcza o tunguzach słyszymy, że często pojedynkują się z powodu obrazy nawet najbliżsi ze sobą—krewni. Rycerski indyanin, toż przecież ulubiona postać snów i zabaw naszej młodzieży. Gościnność, męztwo, uczciwość dzikich nie zadziwiają nas już całkiem, bo spotykamy się z niemi co krok wśród opisów etnograficznych.

W przedstawieniach despotyzmu i jarzma, uciskającego plemiona murzyńskie przeoczamy najczęściej owe silnie zarysowane granice, które opinia publiczna kładzie samowoli wodza i które oznaczają poniekąd w współudział ogółu w jego władzy. W Lunda panujący jest stale otoczony orszakiem, strzegącym go od oszołomienia i upojenia, by w stanie niepoczytalnym nie dopuścił się okrucieństw — pierwotna forma konstytucyonalizmu! Częstokroć też władza najwyższa należy do wiecu, [1]) którego obraz zgadza się w zupełności prawie z podanym przez Tacyta opisem germańskich urządzeń i zwyczajów.

Wiele ludów pierwotnych zadziwia nas częstokroć swem poczuciem piękna, ozdobnością swych wyrobów. Smakiem artystycznym prześcigają one nawet tu i owdzie Europę, [2]) a życie ich w daleko większym stopniu niż nasze przepojone jest płynącem ze sztuki weselem. [3]) Treitschke powiada [4]) „Szlachetność danego narodu poznać można potem, czy starszą jest jego sztuka czy komfort.“ — W oświetleniu tych słów Rzymianie, mogący z większą dumą powołać się na swe wodociągi, kloaki, gościńce niż na dzieła sztuki, posiadali mniej wrodzonego szlachectwa, niż Eskimowie, Buszmanowie, których ubogie życie upiększone jest tylko zadziwiającem umiłowaniem i uprawianiem sztuki.

Subtelne poczucie sprawiedliwości wśród murzynów często bywa z uznaniem przez podróżników podnoszone. I tak: przyłapany na kradzieży złodziej musi u murzyńskiego plemiona Galla [5]) podwójnie szkodę wynagrodzić — lecz jeżeli kradł tylko, by głód swój zaspokoić, puszcza się go wolno, bez kary. Rzymianom, których dawniejsze prawo (XII tablic) karało złodzieja smaganiem i niewolą, obcym był ten wzgląd na ludzką nędzę. Chamberlain odmawia semitom wszelkich zdolności do tworzenia prawa, i by zdanie swe uzasadnić przytacza jako dowód Arabów środkowej Afryki, posiadających według niego najmniejszy stopień prawnego poczucia. A u nich to właśnie podnosi Ratzel (II. 431) zdolność do głębokiego odczuwania niesprawiedliwości.

Jeśli zaś obok tych rysów dodatnich znaleźć można i wiele ujemnych, o winie Europejczyków w ich powstaniu zapominać się nie powinno. Niewolą, wódką, przywiezieniem chorób strasznych, okrucieństwem, przekraczającem wszelką miarę, niszczymy w dzikim ludzkie znamiona, a potem dzielącą go od nas umysłową i moralną przepaść przedstawiamy, jako fakt przyrodzony! Ci nawet z pocztu wiernych wyznawców teoryi rasowości, którzy nie przeczą istnieniu szlachetnych znamion wśród *dzikich*, odmawiają im mimo to nieraz zdolności do dalszego rozwoju i wróżą, że koło postępu potoczy się po nad tą idylą pierwotności — druzgocząc ją i miażdżąc. A przecież — ileż ciekawych wynalazków świadczy o wysokiem uzdolnieniu tych „skazańców.“ U Australczyków, którzy zajmują jeden z najniższych szczebli, znajdujemy początki pisma. — Polynezyjczycy mają karty morskie, Hawajczycy, mieszkańcy wyspy Fiżdżi itp. drukują pstrymi farbami wzory na służącej im do sporządzania odzieży materyi itp.

Uderzającą jest łatwość z jaką [1]) murzyni i indyanie przyswajają sobie znajomość obcych języków, zdolność czytania pisma i nut. Znany arcybiskup Ireland [2]) orzekł niedawno, że postęp, jaki zrobili murzyni amerykańscy w ciągu tych lat 40, które upłynęły od zniesienia niewoli jest bezprzykładnym w dziejach: żaden lud, jakiejkolwiek barwy lub rasy pochlubić się czemś podobnem nie może i jest on głęboko przekonany, że w bieżącym 40-leciu murzyni szybciej jeszcze rozwijać się będą. Bardzo pouczającą i wielce uwagi godną w tym względzie jest autobiografia murzyna, Booker T. Washingtona, który z niewolnika wyrósł dzięki własnej zasłudze do znaczenia jednej z najwybitniejszych osobistości Stanów Zjednoczonych. W czyjej duszy tli się iskra zapału dla najwyższych celów ludzkości, ten bez łzy wzruszenia nie przeczyta chyba historyi tego życia! [3]) Mnóstwo dowodów świadczących o genialności, wysokiem uzdolnieniu poszczególnych murzynów jako też o ich podatności do kształcenia się wogóle, dostarcza nam Schneider (Ludy pierwotne 1886, tom II), a i Steinmetz niejeden nowy szczegół przytacza. Przykłady te świadczą w dostateczny sposób o tem, że przed żadną rasą droga do kultury nie jest zamknięta, a choć niejeden wysiłek idzie na marne, błędem jest wnosić z tego o bezpłodności i bezużyteczności wszelkich wysiłków. Słuszną jest zresztą uwaga Jentscha: „I Germanie nie w przeciągu jednej doby stali się molami książkowymi i biurokratami.“ W rzeczy samej, Germanie jeszcze w tysiąc lat po zetknięciu się z kulturą świata starożytnego nie przyswoili sobie i nie skorzystali do tego stopnia ze skarbów cywilizacyjnej puścizny, w jakim uczynili to murzyni amerykańscy już w obecnej chwili. Również i szybkie przepajanie się kultury japońskiej europejską jest w dziejach bezprzykładne.

Zasadniczym warunkiem trwałego podniesienia niższych ras jest rozbudzenie wśród nich energii gospodarczej. W hodowli koni panuje zasada: połowa rasy gębą włazi. Ścisły związek między wyższą kulturą duchową a jej materyalnym podkładem uwidocznia się jasno równoczesnością klasycznej epoki sztuki w Francyi, Anglii, Hiszpanii i Holandyi z pierwszym istotnym rozkwitem gospodarki narodowej, który ze świetnością politycznego stanowiska nie zawsze idzie w parze. Nasze wyobrażenie o lenistwie ludów pierwotnych, któremu tylko przymus może przeciwdziałać, jest zupełnie fałszywe. Ratzel przytacza mnóstwo przykładów skrzętnej i rozumnej uprawy roli przez murzynów i Polinezyjczyków. W Południowej Ameryce plantacye indyan, murzynów pokryte są często bujną roślinnością, świadczącą o pra-

*) Dr. Fryderyk Hertz — znany publiczności z pracy o kwestyi agrarnej napisał ten artykuł dla *Prawdy*, przełożyła go na język polski p. H. Gumplowicz.

[1]) Ratzel: „Nauka o ludach.“ Wyd. 2, tom II, str. 347.

[2]) Ratzel: „Ibidem.“ I t., str. 69.

[3]) Ratzel: „Ibidem.“ Str. 405.

[4]) Treitschke: „Polityka,“ 1897, t. I, str. 3.

[5]) Raszeł: „Ibidem.“ Str. 125, 169 i 10,

[1]) Rbtzeł: „Ibidem.“ II str. 28 i t. II, sts. 16 itd.

[2]) Por. Münchener: *Allg. Zeit.* nr. 136, z d. 19 czerwca.

[3]) Por. Booker T. Waschington: „Z niewolnika„, niem. wyd. 1903.

cowitości właściciela, podczas gdy sąsiadujący z nimi Hiszpanie i Portugalczycy marnieją w gnuśnej bezczynności. Niechęć ludów pierwotnych nie jest wstrętem do pracy samej, lecz do nieodpowiadającej im jej formy (kopalnie, fabryki) i niekorzystnych warunków wśród których pracować są zmuszeni. Pewien podróżnik, który niedawno powrócił opowiada, że w całej załodze swej karawany wywołał zdumienie i zapał do pracy, gdy warunków zawartej umowy rzeczywiście dotrzymał.

Z niczem nieuzasadnionego mniemania, że już samo pochodzenie wyznaczyło nam przodujące wśród ludów miejsce, nic chyba tak łatwo wyprowadzić nas nie może, jak porównanie z historycznymi zaczątkami innych ludów cywilizowanych i zestawienie rozlicznych odłamów jednej i tejże samej rasy. I tak np. ofiara z ludzi (do której tak często przyłączało się i spożycie) była w zwyczaju u Germanów długo jeszcze po ich zetknięciu się z cywilizacyą; Celtowie w Irlandyi byli według Diodora wogóle ludożercami, o Gallach Brenusa donosi to samo Pauzaniasz, a według Pliniusza zwyczaj ten znikł u nich dopiero pod wpływem Rzymian. Jeszcze św. Hieronim w młodości swej spotykał ofiary z ludzi u Szkotów, a północno-niemieccy Słowianie do końca wieków średnich nie wzdrygali się przed spożyciem swych starych rodziców. [1])

(D. n.).

Dr. Fryderyk Hertz.

[1]) Grimm: „Deutsche Rechtsaltertümer.“ 4 Aufl. 1903.

NOTATKI NAUKOWE.

— Aleksander Brückner: *Z dziejów języka polskiego.* „Studya i szkice“ zatytułował autor tę swoją niewielką, lecz ciekawą książeczkę, którą każdy będzie musiał przeczytać do końca, jeśli tylko raz weźmie do ręki. Aby nas zachęcić do większej dbałości o czystość i poprawność języka, mówi on nam pokrótce o jego dawności i bogactwie, wykazuje pochodzenie wyrazów i jakaby powinna być ich pisownia wskutek tego, gdyby nieuctwo, poparte niechlujstwem zwyczajowem, nie wypaczyło jej zupełnie. Każe więc walczyć ze złymi nałogami, choć wielu przyznaje sam prawo przedawnienia. Ta pożyteczna książka wyszła we Lwowie nakładem Towarzystwa wydawniczego.

Tym samym brakom i potrzebom usiłują zapobiedz następujące wydawnictwa:

W. Kokowskiego: *Słownik ortograficzny języka polskiego,* wydany w Łodzi u Ludwika Fiszera;

A. Possendorfera: *Błędy językowe,* wydanie drugie, Lwów, nakładem Księgarni Polskiej (B. Połonieckiego) — i

A. Krasnowolskiego: *Najpospolitsze błędy językowe w mowie i piśmie,* które księgarnia M. Arcta puściła w świat w wydawnictwie „Książki dla wszystkich.“

Jeśli A. Brückner zajmuje się głównie stroną historyczną wyrazów, Krasnowolski kładzie przedewszystkiem nacisk na ich formy gramatyczne. Zebrał on i systematycznie przedstawił naszym oczom wszystkie najpospolitsze błędy językowe, codziennie przez nas popełniane wskutek niedbalstwa lub nieuctwa. Doprawdy, dowiódł on nam w tej książce, że jesteśmy jeszcze wielkimi barbarzyńcami i nie znamy najelementarniejszych zasad nauki o języku, a dowiódł z gramatyką w ręku, każdy błąd opatrzywszy zwięzłem objaśnieniem odpowiedniego prawidła.

Prace Kokowskiego i Possendorfa są to właściwie tylko słowniki. W jednym z nich autor zebrał wyrazy błędnie używane, objaśnił ich znaczenie, nadał im formę poprawną; w drugim znajdujemy mniej więcej wszystkie powszechniej znane, ułożone w porządku alfabetycznym, lecz bez określenia znaczenia, p. Kokowskiemu bowiem chodziło głównie o ustalenie pisowni.

* * *

— Jan Karłowicz: *O człowieku pierwotnym,* siedm odczytów. Lwów, nakładem Tow. wydawniczego, 1903.

Niewielka książka, licząca 163 strony, zawiera odczyty, miane we Lwowie w szeregu powszechnych wykładów uniwersyteckich. Cel ich wymagał popularnego wyłożenia przedmiotu ściśle naukowego; po przeczytaniu całości doznaje się wrażenia, że prelegent w zupełności zamiar swój osiągnął, zdołał bowiem zainteresować przedmiotem do tego stopnia, że niewątpliwie niejeden z chciwszych wiedzy słuchaczy został zachęcony do poszukania jakiegoś obszerniejszego dzieła w tym kierunku, chociażby Tylora „Cywilizacya pierwotna,“ na którą autor kilkakrotnie się powołuje.

Szczególniejszą wartość książki dla polskiego czytelnika stanowi fakt, że autor wszystkie prawie ilustracye rozbieranych teoryj naukowych czerpie z naszego materyału rodzimego, znanego mu doskonale i zestawionego w sposób bardzo zajmujący.

Gdyby książka nie posiadała innych zalet, to już ta jedna cecha rodzimości, tak rzadko u nas w książkach naukowych spotykana, zalecałaby ją do odczytania.

* * *

— K. Łubkowski: *O zwęglaniu torfu.* Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1903.

Praca ta ma wielkie znaczenie ze względu na jej doniosłość praktyczną, ponieważ w sposób jasny i przystępny poucza o metodach przerabiania torfu na materyał opałowy, dający się stosować zarówno w fabrykach, szczególniej metalurgicznych, oraz do użytku domowego, jako dobry i niedrogi środek opałowy, mogący wytrzymać współzawodnictwo nawet z węglem kamiennym przy jego wysokich obecnie cenach.

* * *

— Dr. Mojżesz Schorr: *Żydzi w Przemyślu do końca XVIII wieku.* Lwów. Nakładem funduszu konkursowego.

Jest to jedna z monografii historyi Żydów w Polsce, które zawdzięczamy ustanowieniu konkursu imienia H. Wawelberga. Na 280 stron wielkiego formatu, tekst zajmuje zaledwie siedmdziesiąt, a resztę materyały w języku polskim, hebrajskim i łacińskim. Monografie takie są niezmiernie pożyteczne, a nawet niezbędnie potrzebne, jeżeli mamy istotnie poznać historyę Żydów w Polsce, a co za tem idzie, i ważną kartę naszych własnych dziejów. Praca dr. Schorra rzuca bardzo ciekawe i charakterystyczne światło na wiele stosunków naszego społeczeństwa.

* * *

— *Dziennik Ludwika Szczanieckiego, pułkownika wojsk polskich.* Warszawa. Skład gł. w księgarni E. Wende i Sp. 1904.

Szczupłe jeszcze i niedostateczne materyały do historyi polskiej z pierwszej połowy zeszłego stulecia zostały pomnożone dziennikiem Ludwika Sczanieckiego, legionisty i napoleończyka, który cały swój żywot przewojował, i w wielu wypadkach historycznych, pierwszorzędnej doniosłości dziejowej osobiście brał udział.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura niemiecka.

Pamiętnik robotnika. *)

Nazywa się Karol Fischer... **)

Wypiastowała go niedola, kształcił głód i nędza. Mistrzynią życia była poniewierka, celem — możność wegetacyi, środkami do celu praca. Była to praca długa, i ciężka, i krwawa. Nie zaznał radości i „wiosny życia“ nie miał. Na drodze swej nigdy nie napotkał kwiatów i nigdy uśmiechem twarzy swej nie rozjaśnił. Przy pracy płynęły mu dni za dniami, płynęły mroczne, posępne, jednostajne. I wlokły się lata za latami, podobne do siebie i jednakowo ponure, choć coraz bardziej wyczerpujące. Praca fabryczna, druzgotała powoli, zabijała stopniowo ostrożnie, łamała, gięła i ciskała na łoże boleści, i znowu powoływała do siebie, i dalej szerzyła zniszczenie.

„...I szły lata — powiada autor — i dawno już minęły te piękne czasy, kiedy wszystko było dobrze, i straciłem ochotę do dalszej pracy, bo praca moja oddawna już nie przynosiła mi korzyści. Bo w ostatnich latach ręce moje od borykania się z twardą masą, wyniszczyły się doszczętnie, i w nocy niewiadomo było, gdzie je ukryć; rwanie w stawach nie pozwalało zasnąć, a przy najlepszych chęciach, choćby nawet i ochota dopisywała, nie mogłem już z robotą nadążyć za młodszymi. A od pośpiechu zależało wszystko...“

Tem „wszystkiem“ była możność zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb, możność podtrzymania życia. Ale „dobre czasy“ minęły niepowrotnie, a przed oczyma stanęło okropne widmo niemocy. W mroku przyszłości czaiła się już nędza i coraz częściej ukazywała swoje upiorne oblicze. A lata szły i szły, a każdy rok coraz więcej sił ze sobą unosił.

Tak kończył się pierwszy akt tragedyi, a zaczynał się drugi...

W prostych, niewyszukanych słowach zamknął Fischer 44-letni okres swego życia. Najpierw opisał dzieciństwo, pełne żalu niewypowiedzianego i łez niewypłakanych, pozbawione radości, i śmiechu, i złudzeń wiośnianych, dzieciństwo, odarte z marzeń, tak smutne, jak szkielet drzewa, gdy wicher jesienny ostatnie liście uniesie. Bo jesienią zaczęło się to życie robotnicze. Po latach dzieciństwa i torturach szkolnych, opisuje Fischer pierwsze kroki na drodze pracy samodzielnej, a potem lata włóczęgi i robót przy budowie nowych dróg i kolei, lata, przeplatane chorobą, przymieraniem z głodu żebraniną, a nawet dobrowolnem więzieniem, w którem pewnego dnia, śmiertelnie chory i wyczerpany, ujrzał jedyny przytułek i jedyną drogę, wiodącą do szpitala. Raz, gdy w nieznanej sobie mieścinie dowlókł się do bramy szpitalnej, brutalnie został odepchnięty. Odźwierny zapytał go, czy ma świadectwo, a ledwie usłyszał przeczącą odpowiedź, zatrzasnął drzwi przed nosem. Bohater nasz pozostał sam, w obcem miejscu, bezradny i nieszczęśliwy, gdyż nie wiedział, o jakie świadectwo go pytają

*) Denkwürdigkeiten und Erinnerungen eines Arbeiters. Herausgegeben und mit einem Geleitwort versehen von Paul Göhre. Leipzig 1903.

**) Wydawca grubemi literami wypisał nazwisko swoje na karcie tytułowej, ale nie pomieścił nazwiska autora. O nazwisku tem czytelnik dowiaduje się z tekstu.

i do kogo po nie się zwrócić. Choroba go żarła i grosza nie miał przy sobie, a szpital był zamknięty. Chwil takich w swojem życiu miał więcej.

Po długiej tułaczce dostał się nareszcie do fabryki. Jako palacz pracował dzień i noc, z krótkiemi przerwami na sen i jedzenie, kontent, gdy raz na tydzień znalazł się w łóżku. Potem nastąpiła praca w samej fabryce i płynęły lata monotonne, szare, niszczące...

W „Pamiętnikach“ niema zgrzytów, a zawarta w nich skarga nie bije w niebo rozgłośnym bólem i rozpaczą. Brzmi, jak cichy wyrzut. Bo Fischer nie skarży się. On tylko opisuje swe życie, a opisuje je dziwnie bezosobowo, objektywnie, jak gdyby nie on sam był bohaterem. Na wspomnienie doznanych nieszczęść, nie zaciska pięści i nie złorzeczy. Jest smutny i śmiać się nie umie, ale smutek jego jest bierny, a spokojny, jak fala, płynąca starem, dobrze wyżłobionem łożyskiem. Rzecz dziwna! człowiek ten ciężko borykał się z losem, pracował nieustannie i długie, długie lata przeżył, jak nędzarz, a jednak nigdy nie przyszło mu na myśl, że możnaby życie urządzić inaczej. Zdawałoby się, iż człowiek ten nie wie, że po za duszną atmosferą fabryki, istnieje jeszcze olbrzymia przestrzeń życia, pełna radości i słońca, że ludzie nietylko w pocie czoła pracują, że czasami rozbrzmiewa śmiech i słodkie i ciepłe padają słowa, że w oceanie życia spotykają się ze sobą rozhukane fale namiętności i pragnień, że toczy się nieustanny bój o prawdę i światło, że walczy się i dąży do lepszej, promiennej przyszłości. On tego nie rozumie. Gdy w okresie wyborów trzeba było głosować, Fischer usuwa się od głosowania, nie przypuszczając, jakie znaczenie mieć ono może. Jest obojętny na różnorodne objawy życia, nad niczem głębiej się nie zastanawia, nie czyta, nie czuje potrzeby rozszerzenia swych wiadomości i głębszego wniknięcia w treść życia. Praca i nieustanna walka z biedą, zdarzenia drobne, nikłe, nieznaczne, — a jednak składające dziwnie smutną całość, oto kanwa jego „Pamiętników,“ książki niewątpliwie ciekawej, jako dokumentu, na którym niedola ludzka krwawemi zgłoskami wypisała swe dzieje, książki wartościowej, bo stanowiącej jedną cegiełkę więcej w gmachu, budowanym przez historyę kultury, ale nie miarodajnej, jak chce autor przedmowy, jeżeli chodzi o wyrażenie uczuć mas szerokich. Nie, głos Fischera nie jest głosem rzesz, Fischer nie jest ich rzecznikiem. Jest jednym z tych, którzy idą na szarym końcu. Nie ukazuje mu się, choćby w dalekiej perspektywie jasna przyszłość i słońce nadziei nie świeci. Tem smutniejsze są jego dzieje i tem większe budzą współczucie.

A co najwięcej przykuło moją uwagę, to ten zrównoważony spokój i cicha rezygnacya, z krórą autor kreśli swoje wspomnienia. I nawet żalu nie miał do nikogo. Nie, zaprawdę trzeba mieć serce gołębie i niewyczerpany zapas słodyczy, aby módz tak spokojnie pisać o tem, co boli i dręczy, i beznadziejnie zabija. A jednak...

Ach, przyszła nareszcie chwila, kiedy i w tym człowieku zawrzała burza. Życie stawało się coraz trudniejsze, zdrowie nie dopisywało, a zarobek tak malał, że nawet podatku nie było czem opłacić.

Tak skończył się pierwszy akt tragedyi, a zaczynał się drugi i ostatni.

Gdy autor oprzytomniał, rzeczywistość kolnęła go w serce. Był to cios śmiertelny, zabójczy, wymierzony przez stygnącą rozpacz.

Co począć?!.

Jeden ciężki kamień więcej spadł na bólem przygniecione piersi. Co począć?!..

Za sobą miał długie, długie lata pracy; w pracy tej utopił wszystkie swe siły, i zdrowie, i młodość. A przed nim szło w świat szeroki sto dróg i szumiało bezkresne morze nędz ludzkich i bólów...

I dokąd pójdzie, którą z dróg sobie wybierze? Ach, wszystko jedno! Każda zawiedzie do kresu, a żadna nie wyprowadzi w słońce.

Bo i cóż mogło mu pozostać?

Ot, kij żebraczy na resztę steranego żywota i łzy nieszczęśliwej, skołatanej starości, łzy nędzarza tułacza... Niech płyną!...

Artur Śliwiński.

NA MARGINESIE.

Dostawa mleka w mieście. Wielki postęp w sprawie dostawy mleka w mieście, zwłaszcza dla ubogich warstw ludności, mamy do zaznaczenia w Sztutgardzie.

Kuchnia dla chorych (instytucya miejska) zaprowadziła codzienne wydawanie mleka sterylizowanego, skondensowanego i innych tego rodzaju preparatów odżywczych, zalecanych przez lekarzy. Ma to na celu zwalczanie zgubnych skutków niedostatecznego odżywiania i wielkiej śmiertelności wśród niemowląt, pozbawionych dobrodziejstwa karmienia piersią matczyną. Ta nowość zostaje pod stałą opieką i kierunkiem lekarza.

W ten sposób matki mogą otrzymywać mleko w najlepszym gatunku i najstaraniej przyrządzone, nadto zasięgać rad i wskazówek w sprawie pielęgnowania i żywienia dzieci, które lekarz ogląda raz na tydzień w lokalu instytucyi.

Głównie korzystać mają z tych dobrodziejstw rodziny robotnicze i niezamożne, gdzie przyrządzenie stosownego, sztucznego pokarmu nastręcza najwięcej trudności. W tym celu są naznaczone ceny, jak najniższe; darmo jednak nie wydaje się nic w myśl zasady, że utrzymanie dzieci jest obowiązkiem, ciążącym na rodzicach. Każda matka może przez rok, a w razie potrzeby nawet dłużej otrzymywać codziennie koszyk z taką ilością stosownie napełnionych buteleczek, jaka jest potrzebna na dobę dla dziecka.

Kontrola i sterylizowanie mleka, przyrządzanie i wydawanie pokarmu, czyszczenie zbiorników, butelek itp. odbywa się pod nadzorem pań, które prowadzą nadto dokładne spisy oraz ważą niemowlęta co tydzień, a lekarz zależnie od tego udziela matkom porad i wskazówek.

(*Monatshefte für soz. Med.*, I t).

KRONIKA.

— D. 6 b. m. wykonano w Wilnie wyrok śmierci przez rozstrzelanie na żołnierzu Anofinie za zamach na życie kapitana Sredniewa.

— Dnia 13 b. m. w Białymstoku dokonano zamachu na policmajstra Metlenkę. Z trzech strzałów jeden ranił policmajstra w biodro. Winnego nie wykryto.

Wiadomości społeczne. Departament kasacyjny senatu wyjaśnił, że za miejsca publiczne należy uważać takie, do których wstęp jest wolny dla wszystkich, bez osobnych zaproszeń. Resursy, kluby i stowarzyszenia stają się miejscami publicznemi tylko wówczas, gdy odbywa się w nich widowisko ogólne.

— W wykonaniu woli zmarłego męża p. Liefeldtowa ofiarowała 1,000 rb. na wpisy dla studentów, 500 rb. na Kasę literacką, 500 rb. na Kasę Mianowskiego, 500 rb. na kolonie letnie i 500 rb. na Biuro nędzy wyjątkowej.

— Ministeryum spraw wewnętrznych opracowywa projekt przekształcenia 35 osad i wsi w gub. południowo-zachodnich na miasta, w których Żydzi zyskaliby prawo zamieszkiwania.

— Były profesor seminaryum duchownego w Kijowie, Honszewski, zapisał 100,000 rb. na założenie szkoły ludowej.

— Urząd lekarski w Petersburgu zwołał zjazd na połowę grudnia w celu narad nad środkami walki z prostytucyą.

— We Lwowie pod przewodnictwem superintendenta zboru ewangelickiego odbyło się zebranie z udziałem 19 pastorów, 35 nauczycieli i 94 przedstawicieli gmin, na którem uchwalono sprzeciwiać się emigracyi Niemców galicyjskich, namawianych przez pruską komisyę kolonizacyjną do osiedlania się w Poznańskiem.

— W Rzymie pewne grono osób zamierza założyć dom polski dla zogniskowania w nim życia artystów i kolonii polskiej.

— Przyszła wiadomość z Nowego-Yorku, że 5,000 robotników polskich, włoskich i węgierskich utraciło zajęcia; powodem wymówienia miejsca są oszczędności, zaprowadzone w niektórych gałęziach przemysłu.

Z Poznańskiego. Trybunał administracyjny w Berlinie orzekł, że używanie języka polskiego nie może stanowić przyczyny do rozwiązania zgromadzenia publicznego.

— Sąd w Tczewie, w Prusach Zachodnich, skazał na pół roku ciężkiego więzienia 14-letniego ucznia szkoły miejscowej, Polaka, Piotra Oberlanda, za to, że zamierzył się jakoby nożem na nauczyciela, gdy ten chciał go skarcić za jakieś przewinienie i w tym celu ujął go za kołnierz. Rodzice chłopca, za obrażenie tegoż nauczyciela, skazani zostali na tydzień aresztu. W sprawie tej *Berl. Tag.* widzi jeden więcej dowód fanatycznej nienawiści Polaków do Niemców, a jako lekarstwo na jej wykorzenienie doradza... bezwzględną germanizacyę duchowieństwa. Pierwszym i najważniejszym krokiem na drodze tej musi być mianowanie Niemca na stolicę arcybiskupią w Gnieźnie po śmierci ks. Stablewskiego. (*Gaz. Pol.*).

— W Sejmie śląskim, na zarzuty uczynione lekarzom Niemcom, że nie znając języka ludności, powodują liczne katastrofy podczas leczenia chorych w szpitalach, poseł Turek odpowiedział, że „znajomość języka jest dla lekarza obojętna, bo przecież weterynarze nie porozumiewają się ze zwierzętami, a jednak leczą je skutecznie.“

— We Wrocławiu otworzono muzeum dyecezyalne, zawierające pamiątki historyczne Śląska.

— *Gazeta Ludowa*, wychodząca w Poznaniu pod kierunkiem p. Róży Luxemburg i p. Gogowskiego żąda od nas sprostowania, że nie 37 ma prenumeratorów, jak pisaliśmy poprzednio, lecz aż 200.

Szkoły i wychowanie. Komitet stypendyum imienia inżyniera Stanisława Filipowskiego zawiadamia, że na rok szkolny 1903/4 wakują dwa stypendya dla studentów politechniki warszawskiej. Kandydaci mają się zgłaszać osobiście do członka komitetu, adwokata Jana Mazurkiewicza, Nowo-Miodowa nr. 2, między 5 a 7 popołudniu.

— Od Nowego Roku podwyższone będą pensye etatowe nauczycieli w szkołach miejskich, seminaryach nauczycielskich i instytutach. W gimnazyach i szkołach realnych dyrektorzy, ispektorzy i nauczyciele, pobierający 1,500 rb. za 12 godzin wykładowych tygodniowo, nie otrzymają podwyżki; nauczyciele zaś pobierający, 1,250 rb. za 12 lekcyj normalnych, oraz nauczyciele, którzy służą nie więcej, jak 10 lat, otrzymywać będą podwyżki 90 rb.; mający służby od 10—15 lat, dostają 180 rb. i pozostający w służbie od 15—25 lat otrzymują 360 rb. podwyżki rocznie. Niezależnie od podwyższenia płacy z początkiem r. p. za lekcye dodatkowe wynagrodzenie podniesione będzie: z 60 do 70 rb., z 50—60, z 48 do 55, z 36—42 i 30 do 35 rb. Co zaś do uniwersytetów i innych wyższych zakładów naukowych, normalnych ministeryum oświaty, podwyżki pensyj w stosunku 20% otrzymywać będą profesorowie niepobierający więcej, jak 1,000 rb. rocznej płacy, za wykłady dodatkowe.

— Zatwierdzony został komitet opieki nad szkołami początkowemi dla Żydów; oprócz członków-Żydów brać w posiedzeniach będą udział czterej inspektorowie, mianowani przez zarząd okręgu naukowego, warszawskiego.

— D. 9 b. m. prof. Raciborski otworzył we Lwowie nowy kurs powszechnych wykładów uniwersyteckich odczytem o barwie roślin.

— Z pośród miast, współzawodniczących o pozyskanie uniwersytetu, projektowanego w kraju północno-zachodnim, Mińsk zobowiązuje się dać 500,000 rb. z funduszów miejskich na budowę gmachu szkolnego.

— A. Moes, przemysłowiec z Choroszczy, wszczął starania o otworzenie kursów handlowych dla dzieci oficyalistów i robotników, zatrudnionych w jego fabryce, przeznaczając na ten cel budynek oraz 6,000 rb. rocznie.

Wiadomości naukowe. D. 18 b. m. w Muzeum przemysłu i rolnictwa rozpoczął się szereg odczytów z dziedziny nauk przyrodniczych. Pierwszy wygłosił prof. Znatowicz o granicach zimna, w następnych mówić będą: p. K. Jabłczyński — o najwyższych temperaturach, p. J. Siomy — o Ojcowie, p. J. Eismond — o zwierzętach nieśmiertelnych, dr. A. Fabian — o spirytyzmie, p. W. Szukiewicz — o Zakopanem, p. J. Sosnowski — jak latają ptaki i owady.

— Trzeci wszechrosyjski zjazd elektrotechników odbędzie się w Petersburgu d. 9—18 stycznia r. p.

Ze sztuki. Przy Towarzystwie Bratniej Pomocy uczniów Akademii sztuk pięknych w Krakowie zawiązała się sekcya Matejki, która ma się zająć zbieraniem funduszu na postawienie mistrzowi pomnika.

Zdrowie publiczne. Warszawski urząd lekarski zaopatrzony został w karetę dezynfekcyjną, mogącą pomieścić kilkanaście osób, która wysyłana będzie do mieszkań prywatnych w razie pojawienia się choroby zakaźnej. W tej karecie odbywać się będzie również dezynfekcya ubrania, pościeli i sprzętów domowych.

— Libawska rada miejska postanowiła wprowadzić książki kontrolujące dla lekarzy, ordynujących w szpitalach. Podobno wszyscy skutkiem tego rozporządzenia podali się do dymisyi.

— W Rio de Janeiro grasuje dżuma; w ciągu tygodnia zmarło 23 osób, zachorowało 66.

Sprawy ekonomiczne. *Warsz. Dniew.* donosi, że w ministeryum spraw wewnętrznych opracowywany jest obecnie projekt uregulowania kolonizacyi obcokrajowych wychodźców w gub. zachodnich i nadwiślańskich, w ministeryum zaś skarbu oprócz tego opracowywane są nowe przepisy w sprawie zakładania przez obcokrajowców w gub. nadwiślańskich jakichkolwiek przedsiębiorstw przemysłowych.

— Powstał projekt obowiązkowego zaopatrywania wojska w czasie wojny w bydło opasowe, na wzór istniejącej dostawy koni.

— Zjazd kolejowy w Petersburgu postanowił zapobiedz spekulacyi węglowej przez wprowadzenie w razie potrzeby na kolei Dąbrowskiej taryfy, odpowiadającej cenie dostawy węgla koleją Wiedeńską do Warszawy i Łodzi.

— Zarząd zachodniego okręgu górniczego przeniesiono z Suchedniowa do Warszawy.

— Cztery huty rządowe w Bzinic od nowego roku będą oddane w dzierżawę przedsiębiorcy krajowemu. Na eksploatacyę tych hut ogłaszano dwukrotnie licytacyę, która jednak z powodu uciążliwych warunków, a głównie małej wydajności produktu, nie doszła do skutku. Obecnie oznaczono minimalną normę żelaza, zawierającego się w rudzie, na 30%, a nadto wypłata należności za gotowy materyał ma być rozłożona na raty.

— Między rządem rosyjskim a norweskim zawartą została umowa wzajemnej ochrony praw handlowych.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj nadało oficyalistom rzędowych szkół kolejowych, technicznych, oraz ich rodzinom, prawo bezpłatnego przejazdu kolejami państwowemi i cudzoziemskiemi.

— Zamierzono rozciągnąć prawo ispekcyi fabrycznej na warsztaty kolejowe.

Poczta. Na stacyach pocztowych w Poddębicach, pow. Łęczyckim i w Jaszunach, gub. Wileńskiej, zaprowadzono telegraf.

Zmarli. Aleksander Krywult, właściciel Salonu artystycznego, w Warszawie.

— Ludwik Passini, akwarelista, w Wenecyi.

— Baron Irje Koskinen, historyk, przywódca stronnictwa starofinlandzkiego, w Helsingforsie.

Odpowiedzi Redakcyi.

C. T. Do kosza. Zupełny brak poezyi.

Panu Józefowi Prusz. Nie możemy uczyć czytelników sztuki myślenia. Prosimy przeczytać artykuł jeszcze raz, a może intencya autora stanie się Panu wyraźniejszą. W ten sam sposób możnaby powiedzieć... np. o Mickiewiczu: „był nietylko Polakiem, ale i człowiekiem."

Pani Mańkowskiej w Moskwie. Zdaje się, żeśmy nie otrzymali listu z zawiadomieniem o zmianie adresu.

OFIARY.

Na wpisy dla uczącej się młodzieży: Dr. Paszkowski z Święcian rb. 10, P. C. Popławski z Kijowa rb. 3, Pan Warchalski 16 książek, podręczników szkolnych.

OGŁOSZENIA.

Pamiętnik NAGIEJ PRAWDY.

WSTĘP

Jest nas pięciu.

Od kilku lat stanowimy społeczeństwo złożone z tyluż stronnictw. Pomimo częstych walk, żadne z nich nie jest dotąd łyse, gdyż wydzieranie sobie wzajemnie włosów nie należy do naszego programu. Czytając prawie wszystkie pisma perjodyczne, uczuwamy duszność ryb pod lodem, w którym nie zrobiono przerębli. Prasa bowiem warszawska składa się z 50 martwych akademij i paru karczm. Te ostatnie są o tyle więcej warte od pierwszych, że przerywają ciszę dzikim wrzaskiem i urozmaicają jednostajność widokiem tańca pijaków, napaści opryszków i krętarstwa szynkarzów. Pewnego dnia przyszła do nas zziębnięta i sponiewierana Naga Prawda ze skargą na swą bezdomność: bo gdziekolwiek poprosiła o przytułek, zgwałcono ją i wyrzucono za drzwi. W stowarzyszeniach, bankach, kantorach, fabrykach, redakcyach — wszędzie głośno lub cicho powiedziano jej: idź do licha! A gdzie mieszka licho? Probowała ona wybłagać sobie zapiecek w jakiemś gospodarstwie wydawniczem — daremnie. Według niej:

Kuryer Warszawski jest to młyn djabelski, który ciągle się obraca i w którym zajmujący ławki znajdują się kolejno na górze lub na dole. W jego karuzelu jeżdżą tylko na drewnianych koniach księża i przyjaciele.

Kuryer Codzienny jest to barak dla letargików, starannie pilnowanych, ażeby się nie obudzili.

Słowo jest cechem wyćwiczonych kamerdynerów, rozmyślających nad sposobami zniszczenia cebulek włosowych na wargach, a wzmocnienia na policzkach.

Gazeta Warszawska jest zakonem tercjarzów, modlących się na ogłoszeniach Towarzystwa Kredyt. Ziem. i udaną ślepotą, ze skorupą żółwiową w ręku budzących miłosierdzie przed gankiem dworów szlacheckich.

Wiek jest to plebania, w której proboszcz, tłusty od umartwień swego ciała, każe zakrystjanowi bez przerwy dzwonić a w wolnych chwilach strzela do Żydów przez lufcik nabojami z soli, zapewniając, że mierzy do wróbli, objadających mu w ogrodzie czereśnie.

Gazeta Polska jest to cyrk, w którym akrobata na swojskim koniku oblatuje arenę z prążkowaną różnemi barwami chorągwią tak prędko, że ona wydaje się białą.

Tygodnik Ilustrowany jest to sala szpitalna, w której przy bladym, anemicznym chorym intendent - wydawca z głową Sienkiewicza w breloku, krzyczy na chirurga-redaktora „puszczaj krew, bo go zabije apopleksja!"

Biesiada jest to podwórze meczetu w którym derwisz, w zapamiętałym tańcu krzyczy ochrypłym głosem: „Allach jest wielki!" dopóki nie upadnie bezprzytomny.

Wędrowiec to sklep znoszonej odzieży pańskiej i nowej tandety, w którym ubierają się lokaje doktorów bez praktyki i kelnerzy bufetów kolejowych.

Prawda to radykalna, kwakerska kaplica ze Swiętochowskim w ołtarzu i z ostrzeżeniem na tablicy przy wejściu: „wolno obnażać tylko twarz i ręce."

Ogniwo to stągiewka, napełniona zimnemi łzami, z zanurzonym w nie termometrem, na który redaktorzy chuchają, ażeby słup rtęci podniósł się po nad zero.

Głos to ogromna fajka, napełniona opium, którego dymem odurzają się młodzieńcy, ciągle plując i wyrzucając okrzyki bez związku.

I tak dalej o wszystkich organach prasy mówiła Naga Prawda, której innych określeń, jako zbyt dosadnych, nie przytaczamy.

Dajcie mi — rzekła wreszcie — jakikolwiek bodaj maleńki kącik, gdziebym się schronić mogła.

Wzruszyła nas. Ale co mieliśmy począć? Założyć dla niej osobne pismo? Na to nie pozwalał nam ani szacunek dla naszej kieszeni, ani szacunek dla naszego czasu godnego lepszej sprawy. Postanowiliśmy tedy na ostatniej stronicy jakiegoś wydawnictwa wynająć dla niej mały placyk, gdzie mogłaby składać swoje doświadczenia. Kilka pism, do których zwróciliśmy się, odmówiło nam miejsca. Ponieważ *Prawda* zgodziła się na propozycyę, więc zamieszczać w niej będziemy płatne ogłoszenia „Pamiętników Nagiej Prawdy," dodając do nich tylko drobne komentarze. Czytelnicy nic na tem nie straca, a nawet może będą woleli te wyznania, niż inseraty o rozmaitych wyżymaczkach dobra publicznego.

(C. d. n.).

G. B. W. P. D.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Октября 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.